Generałowej

Benigny Kazimierzowej Małachowskiej Pamiętniki.

1830—1870.

(Ciąg dalszy).

1-go Sierpnia 1831 r. Przyrzekł nakoniec Skrzynecki zostać Wodzem rewolucyjnym, odłożyć na bok korespondencye dyplomatyczne, a bić się na seryo, bić się tak, jak to od początku uczynić należało. — Straciliśmy czas, wojsko, magazyny; nieprzyjaciel otoczył nas w szczupłym zakresie, pozwolono mu zbliżyć się nieledwie pod mury stolicy. Rozbierano to wczoraj na Radzie wojennej wszystko; byli generałowie, którzy utrzymywali, że pokonać nieprzyjaciela nie zdołamy, — mniejsza liczba była tych, którzy byli za stoczeniem bitwy — i mniejsza przemogła. Było to życzenie Narodu. — Dziś Mąż z dywizyą swoją wyszedł do Błonia; odprowadzałam go do Woli. Wyprowadzać Męża — na śmierć, to nie wesoło. Na ten raz nie żony, ale Polki przywołałam uczucia. Tyle lat i w tylu zdarzeniach Bóg go ochronił od kalectwa i śmierci, czegoż się mam dziś lękać; alboż nie walczy za dobrą sprawę. I oni ochoczo poszli — i ja spokojna wróciłam do domu.

2-go. Loterya fantowa odbyła się dobrze; wielu pomoc otrzymało.

3-go. Dembiński wrócił z Litwy. Jakże to ten lud polski dobry; jak umie cenić każden czyn patryotyczny; szalał z radości, widząc nasze wojsko przybyłe walczyć z nami.

4-go. O 2-giej po południu zachorowała nam dobra nasza Ciotka na cholerę; doktor nie robi nadziei.

5-go. Straciliśmy naszą ukochaną Ciotkę; umarła o godzinie 8-mej rano, a o 11-tej już ją pochowaliśmy, bo tak policya każe chować śpiesznie, co na cholerę umierają. Bolesna rzecz dla nas.

6-go. List od Męża; pisał go na polu, — idą przeciw nieprzyjacielowi.

7-go. Znowu list od Męża; nic mi pewnego jeszcze powiedzieć nie może.

8-go. Rydyger przeszedł wczoraj Wisłę.

9-go. List od Męża; ważne, ale bardzo smutne wiadomości.

10-go. List od Męża. Źle się dzieje. Miasto całe wzruszone; smutne biegają wieści — bodaj się nie sprawdziły.

11-go. Biegają wieści o zmianie Wodza; mówią, że na Męża ma ten paść wybór, — czas o tem myśleć, kiedy wszystko zgubione.

12-go. Dembiński mianowany tymczasowym zastępcą Naczelnego Wodza. Skrzynecki nie ma już komendy. Pani Skrzynecka czytała list od Męża, któren się otwarcie żali na Pana Zamoyskiego, na jego intrygi, na chęć zostania po nim wodzem — słowem sejmik w Bolimowie. — Dwa listy odebrałam od Męża, — pisze mi o wszystkiem, ale jakże to wszystko smutne, okropne. Żądano mego listu; chciano go Rządowi zakomunikować. Nie mogłam się na to zdecydować i, podobno, źle zrobiłam.

13-go. Tyle niepokoju, tyle złych wieści, że od rozumu odchodzę. Kiedyż ta radość, nadzieja, jak pierwszych dni była — powróci do nas.

14-go. List od Męża. Co się tam dzieje!

15-go. List od Męża; wracają pod Warszawę. Jakież to okropne sceny zaszły dziś w wieczór. Lud się zebrał przed pałac Rządowy: żądano kary na więźniów w Zamku. Tłumy ludu snuły się po ulicach: „do Zamku, do zamku!“ wołać zaczęto — i w jednej chwili wymordowano wszystkich. — Okropna była noc cała; winni i niewinni padli ofiarą rozżalonego ludu. Tak to, kiedy nadużyją cierpliwości, kiedy nie wymierzą kary na występnych. Żałowano jednej głowy Jankowskiego, a nie przewidywano, że złe z tego wynikną skutki. Tyle niewinnych ofiar pociągnęło kilku występnych. Pastwiono się nad kobietą, nad rannym, wziętym w niewolę oficerem pruskim! Dosyć o tem, bo zgroza!

16-go. Wożono Mężowi nominacyę do Ołtarzewa, której nie przyjął, wyrzekłszy z żalem te słowa do posłów: „O, biedna, nie-

szczęśliwa Ojczyzno, kiedyście już na mnie wzrok swój zwrócili, odnieście ją napowrót Rządowi Narodowemu, niech nikt nie wie, żeście mi to proponowali, bo biada narodowi, który pomiędzy sobą nie znalazł człowieka zdolnego na Wodza Naczelnego." — Tak tedy wojsko bez wodza zbliżyło się pod Warszawę. Mąż ma swą kwaterę w Ogrodzie Ulrycha. Trwa zamieszanie. Jeszcze jakaś ofiara zemsty na latarni wisi przed oknami memi.

17-go. Uspokaja się. Wojsko jednak i działa stoją po ulicach. W Sejmie narady; naprzód mówią, że Krukowieckiemu oddana będzie zupełna władza. Wielką ponosimy stratę: 1000 ludzi, 2 działa i 200 koni zabrano w niewolę; nie bijąc się — to gorsza.

18-go. Tak mówiono i tak się stało. Krukowiecki wszystkiem! Sejm go uznał, wybrał, a Sejm reprezentuje Naród, powinien tedy wiedzieć, co robi. Jadłam dziś z Mężem obiad w obozie. Wszystko tam smutne, co pod oczy podpada. Możeż być wesoło w takiem położeniu rzeczy?!

19-go. Smutne mam imieniny. Nakazano uprowidować się w żywność, tak, jak w oblężeniu. Jest wszystko, niech tylko opór będzie silny. Beczka pekefleiszu, chleba podostatkiem, wędlin i legumin wszelkiego rodzaju. Jest nadto korzec kaszy jaglanej, przeznaczony na głowy nieprzyjaciół. Alboż to Warszawy nie można zamienić, w przypadku, na Saragossę.

20-go. Ledwieśmy w połowie byli naszego obozowego krupnika (gdyż to było w kwaterze Męża), kiedy oficer od służby wszedł i podając Mężowi list ogromny, rzekł: „od Rządu Narodowego". — „Nominacya na Wodza czyli na Zastępcę" — rzekł Mąż z pasyą i rzucił o ziemię pismo. — „Konia niech mi wyprowadzą — dodał smutnie, — bądź zdrowa, Żono, jadę do Rządu Narodowego, złożę im nominacyę, wszakże wiedzą, żem nie przyjął w Bolimowie; dziś, tak jak i wtenczas zdolnym się do tego nie uznaję." — Odjechał szybko. Jam go czekała, i obiad, którego nie skończył, — ale na próżno, bo już nie wrócił do kwatery. Pułkownik Kozłowski przywiózł mi, około godziny 5-tej po południu, wiadomość, że Mąż przyjął zastępstwo Wodza Naczelnego, że jest już w kwaterze głównej. Pojechałam więc do tej nieszczęśliwej kwatery. Zgiełk tam był niesłychany. Śliczne miejsce w lasku; pałac jakiś — Krakusy otaczali go dokoła. Weszłam smutna do tego domu, zapytana po kilka razy, co chcę i kto jestem; ledwiem się przecisnęła przez tłum różnego stopnia wojskowych. Każden miał jakieś żądanie, każdemu odpowiedzieć potrzeba było. Nie miał więc biedny Mąż jednej wolnej chwili pomówić ze mną, a ja odwagi patrzeć na to,

co się tam działo. Wróciłam do siebie z rozbolałem sercem. Późno. w noc, przybył Mąż, na chwilę. — „Żądano po mnie ofiary, zrobiłem ją z siebie; zapewnił mnie Rząd Narodowy, że za nic odpowiedzialnym nie będę; Krukowiecki jest wszystkiem — krajem i wojskiem rządzi; formalność każe, aby miał zastępcę; nikt, dla gwałtownego charakteru jego, poświęciłby się na to nie chciał. Ty wiesz, że ja nie dla ambicyi, tylko dla użytku kraju mego służę. Kazano mi zrobić ofiarę z siebie — mają mnie." — Zapłakałam rzewnie, ucałowałam nogi i ręce dobrego mojego Męża, bo któraż żona nie czułaby godności takiego czynu.

21-go. Przysłał do mnie Mąż z rana, czy nie zechcę być u niego na obiedzie w kwaterze głównej, która się dziś przeniosła na Nowy Świat. Chętnie przyjęłam te zaprosiny, sądząc, że chwilę w czasie obiadu mieć wolną będzie. Wyborny kucharz Pana Skrzyneckiego pozostał, a chociaż kuchnia teraźniejszego wodza o wiele jest skromniejszą, smacznych jednak parę potraw jedliśmy. 20 osób zasiadło do stołu; był to sztab cały: ani jednego księcia, ani hrabi nie widziałam tam; wszystko się to rozpierzchło, bo naprzód Mąż sobie ich nie życzył, a zapewnie i oni sami nie chcieli figurować obok starego żołnierza. — Siedziałam obok Męża, mało jadłam, lubo wszystko było; słowa jednego wyrzec do niego nie mogłam, bo Pan Gen. Bem, Lewiński ciągłą go zatrudniali rozmową. — Wszystko, co tam słyszałam i widziałam, nie podoba mi się i nie wróży dobrego powodzenia. Zarozumiałość, duma, chęć znaczenia, dalej wiedzie tych Panów nad interes Ojczyzny. Biedny Mąż wplątał się w ten odmęt bezdenny! O, smutniejsza, jak kiedykolwiek, wróciłam do siebie. Możeby inna na mojem miejscu była szczęśliwą, możeby jej podchlebiało to znaczenie, ten blask, — ja płaczę na to, bo w jakiejże to chwili i z jaką władzą ten czczy tytuł dano Mu!...

22-go. Mąż nie spał noc całą; wojsko stało pod bronią.

23-go. Tylko na jedną chwilę widziałam Męża: nie pojmuję, jak mu siły wystarczą: tyle trudów, kłopotów, nieukontentowań. Ach, mój Boże, wspieraj nas! Biedne jest położenie moje — lękać się o los kraju, o zdrowie i sławę Męża, — jakże to wszystko bolesne, a przecież wszystko przetrwać potrzeba.

24-go. Chciałam widzieć Męża, ale i tej pociechy mieć nie mogłam. Siedm godzin dziś był na koniu. Niech pracuje; Opatrzność doda mu sił i zdrowia. Na jakimże to ja żyję świecie. Zdaje mi się, że to sen jakiś. Od samego rana: wizyty, listy i różnego rodzaju prośby; położenie bardzo ambarasujące dla mnie. Nikomu

nic nie przyrzekam: dałam sobie słowo, że za rodzonym bratem Męża o nic prosić nie będę. On tak sprawiedliwy, uczyni zadosyć każdemu słusznemu żądaniu.

25-go. Przegląd wojska. Ja niosę fanty na loteryę, którą dziś ciągnąć będą: mam wiele rzeczy pięknych; tak mi to wszystko teraz łatwo przychodzi, że aż mnie w ambaras często wprowadza. Wszyscy teraz dla mnie bardzo grzeczni, szukają znajomości — dlaczego? Czy wartość ludzi nabywa się ze stopniem? Jest to próżność, która ani podchlebia, ani cieszy.

26-go. Widziałam Męża, kiedym go się najmniej spodziewała. Objeżdżał linię bojową i ostatni punkt swej wizyty dostał się żonie, spragnionej go widzieć choć na chwilę. Dziwne też to robi na mnie wrażenie dzisiejsze położenie Męża.

27-go. Tyle trwogi. Zdaje się, że Moskale myślą atakować Warszawę. Byłam u Męża; w jakimże to on tam żyje kłopocie! jak tam każdy rozumny.

28-go. Ubawiłam się dziś dużo. W samo południe przyjechał do nas pewien sztabowy trefniś, a że bawił dosyć długo, zaproponowałam mu, czy nie zechce zjeść z nami obiadu. Chętnie przystał na to, prawiąc nam anegdoty obozowe, zasiadł z nami do stołu. Lekki rosołek nam dano, ma się rozumieć, że i sztuka mięsa niewyborna, — piwo i woda stało na stole, zakończono danie zrazami i kaszą jaglaną ze słoniną. — „Przepraszam — rzekłam, wstając od stołu, — może obiad nie był do gustu?“ — „Prawda, żem nigdy nie myślał, żeby u żony zastępcy Wodza Naczelnego taki obiad znaleźć można było. Bywajcie, Panie, zdrowe, może ja jeszcze trafię tam na obiad“ — i galopem pojechał do głównej kwatery.

29-go. Co dzień, od kilku dni, spodziewają się ataku — i nie wiedzieć, co myśli Paszkiewicz. Ta niepewność, to oczekiwanie jest zabijające.

30-go. Jakaż to trudna i przykra jest rzecz być pod rozkazami tego Krukowieckiego.

31-go. Wczoraj nie widziałam Męża, dziś ledwie na chwilę wstąpił do mnie, wracając z obozu. Smutny, zmęczony, ale się na nic nie żali; ja też nie śmiem o nic pytać, — wiem jednak, że gdyby co pomyślnego było, powiedziałby mi. Wiem od Ko.[1]), jak mu tam dokuczają dopominaniem się stopni, krzyżów etc. Są to małe, podrzędne rzeczy; jak pójdzie spotkanie się z nieprzyjacielem? — to jest myśl, która go bezwątpienia całego zajmuje.

[1]) Kozłowskiego Adama.

1-go Września 1831 r. Wiadomość od Ramoriny; jakieś zwycięstwo, z którego tu niewiele kontenci.

2-go. Spodziewają się ataku; powiadają, że Moskale koniecznie chcą wejść do Warszawy.

3-go. Trwoga w Warszawie. Ja nawet na uspokojenie Męża widzieć nie mogę. — Powiadają, że Prądzyński widział się z Gen. Dannenbergiem; temu jednak wierzyć niepodobna.

4-go. Gen. Sowiński bronić będzie Woli. Mąż życzył sobie, abym była na obiedzie u niego; byłam. Jadłam ten gorzki kawałek z nim chleba. Zbyt jest łagodnym Mąż dla tych panów!

5-go. I my dziś mieli naszą sesyę — i my radziły, jak iść w pomoc sierotom i wdowom po poległych naszych. Dzięki staraniom i sympatyi sióstr naszych, nie braknie nam sposobów.

6-go. Równo ze dniem przebudził mnie pierwszy strzał. Wyskoczyłam z łóżka, otworzyłam okno, — nie był to sen — strzały powtarzały się. Padłam na kolana i błagałam Przedwiecznego, aby pobłogosławił orężowi naszemu. Wzmagał się ogień. Ruch po ulicach. Niejedno okno, tak jak moje, otworzyło się i niejedna dusza polska wzruszyła się na ten odgłos. Ja potrójną uczułam trwogę: o los kraju, życie i sławę Męża. Ubrałam się spiesznie i pobiegłam do kościoła OO. Bernardynów; tam Matka Boska Loretańska. „Jestem żoną tego, co dowodzi wojskiem — rzekłam z mocnem wzruszeniem do X. Gwardyana. — każ odprawić Mszę świętą w kaplicy Matki Boskiej Loretańskiej.“ — „Dobrze“ — odpowiedział Gwardyan — i sam wyszedł ze Mszą i cały konwent; odsłoniono obraz cudowny — zakonnicy szeregiem poklękli. Kościół był pusty, ale w jednej chwili napełnił się na głos dzwonu; wszystko padło na kolana i wszystko błagało Przedwiecznego o pomyślność orężowi. Odśpiewano suplikacye, poczem wybiegłam na wierzchołek wieży na kościele, ale nic, prócz dymu, nie widziałam. Pobiegłam do domu, wysłałam moją Marysię do głównej kwatery, aby mi stamtąd wiadomość przywiozła. Była godzina 8 rano, gdy tam przybyła moja posłannica, — jednego tylko majora zastała w biurze, i gdy ten pisał do mnie bilecik objaśnień, jakich od niego żądano, przyjechał przed dom głównej kwatery dorożką rosyjską, zaprzężoną dwoma białymi zamkowymi końmi, Gen. Krukowiecki i zawołał po 2 razy silnym głosem: Małachowski, Małachowski! Zdziwiony major otworzył okno i powiedział: „Generał Małachowski jest w obozie, tam, gdzie się biją; pierwszy strzał już go tam zastał, bo objeżdżał pod ten czas linię bojową.“ Nic nie odpowiedział Krukowiecki na to, tylko odjechał zaraz. Co znaczyło to za-

pytanie, pojąć trudno, bo mógłże myśleć, aby Mąż mój w 3 godziny później, po rozpoczęciu bitwy, był jeszcze w kwaterze? a przecież tak jest — niezawodnie. — Okropny był stan mój. Bolesny widok: nieśli, wieźli rannych koło okien moich; nie wychodziłam z domu, bo czekałam, czy mi Męża nie przyniosą. Odgłos: Wola wzięta. Sowiński zginął — największą trwogę wzbudził. W południe — ogień ustał; zawieszenie broni na 24 godzin. Mąż wrócił; kwatera jego przeniesiona do Zamku. Poszłam go widzieć; ale jakiż to był bolesny widok! Była sprzeczka o Ramorynie; Mąż utrzymywał, że wrócić może. — radził, że na wozach wojsko przynieść można; śmiano się z tego projektu.

7-go. O tej samej godzinie, o której wczoraj ogień ustał — dziś się rozpoczął. Około godziny 3-ciej przeprowadzili koło okien moich, z zawiązanemi oczami, jakiegoś generała moskiewskiego; zadrżałam na ten widok! Ogień był straszny. Po 4-tej poczęły się ruchy wojska ku Pradze. „Co to znaczy?“ — pytałam wszystkich, ale nikt, tak jak i ja, nie umiał tego wytłumaczyć. Niespokojna, pełna rozpaczy, wysyłam śmiałego człowieka, dając mu kawałek papieru i ołówek, prosząc go ze łzami, aby mógł widzieć kogo ze sztabu Męża i przywiózł mi stamtąd wiadomość. Gorliwy posłaniec dostał się aż do samego Męża — tam, gdzie największy był ogień, w 23 reducie. Jakie szczęście moje było, czytając własną ręką Męża napisane te słowa: „Żono, nie troszcz się; mam nadzieję, że się utrzymamy — bronić się w barykadach, i mam nadzieję, powtarzam Ci, Żono, że się utrzymamy. Bądź spokojna.“ Znajdowało się u mnie kilka osób, które właśnie przybyły, aby mnie nakłonić do schronienia się u konsula austryackiego, jak to już wiele familii zrobiło. Nigdy nie było moim zamiarem opuścić mój dom, tem bardziej w tej chwili, kiedy odbieram od Męża takie zapewnienie; po trupach więc tylko Moskale mogą przyjść do nas; a wtenczas już mi o życie moje niewiele chodzić będzie. Porwano mi z rąk ową karteczkę i zaniesiono ją do owego konsula, gdzie przeszło 200 kobiet ukryło się, dla uspokojenia ich, że nie źle, jak sobie wyobrażają, stoją rzeczy. Tymczasem wieczór się zbliżał: ogień straszny trwał ciągle — granaty, rzucane race, zaczęły palić domy przedmieścia. Straszny, nie do opisania był widok tego wszystkiego. Około godziny 9-tej w wieczór wszedł Mąż na jedną chwilę do mnie, osmalony prochem, zmęczony, usta spiekłe, oczy krwią zaszłe. Nigdy nie widziałam człowieka w takiej postaci. W przedpokoju rzucił się na krzesło. — „Nie pójdę dalej, Żono moja. Każ mi dać szklankę wina i chleba kawałek, — wezwany

jestem do Pałacu Rządowego; dopiero tu w mieście dowiaduję się, że jakieś układy robią, że część wojska na Pradze. Mam wojsko na barykadach — o żadnych układach wiedzieć nie chce." — Wyszedł śpiesznie z domu, do którego już nie miał powrócić. — Tam się miały okropne dziać sceny; nie wiem tych detalów od Męża, bom go już nie widziała, ale wiem od ludzi godnych wiary, co się tam działo. Krukowiecki bujał się na łańcuchu, przed Pałacem, gdzie ludu mnóstwo zebranego było. — „Szalony — rzekł do Męża. — Ty chcesz bronić Warszawy, wtenczas, kiedym ja ją na łaskę Cesarzowi poddał!" — „Ja o tem nie wiem — odrzekł Mąż — i robię to, co wódz powinien, któremu wojsko w komendę dane". — „Ja Ci rozkazuję; czy Ty nie wiesz, że Cię rozstrzelać kazać mogę." — „A ja Ciebie nie słucham." — Możeby brutalstwo daleko uniosło było Krukowieckiego, gdyby nie marszałek Sejmu, który przerwał tę sprzeczkę. — Co się tam dalej działo, to do historyi należy. Ja wiem tylko, że Sejm, władze chciały i zrobiły smutną ofiarę z Męża mego; zmuszono go do podpisu zbrodniczych układów, które miejsce miały pod ich okiem, w ich obecności. W ich też obecności i z ich woli podpisał Mąż kapitulacyę, bo sam to już pojmował, że opór byłby daremny, że miasto poszłoby w gruzy bez żadnej dla kraju korzyści. — Jaki to ten dzień i jaka noc ta dla mnie była, żadne pióro nie określi.

8-go. Moskale w Warszawie, uwieńczeni zielonemi gałązkami! Nie wiem, jaka to jest silna dusza człowieka, żeby na taki widok nie skonać! Nim jeszcze weszli, wyjechałam i ja na ową nieszczęśliwą Pragę; smutny był rozdział z siostrą. — Przybywszy na Pragę, wprowadzono mnie do pustego, bez okien domu; barłogu po kolana w nim było. Tam zastałam zebrany Sejm, Rząd Narodowy i wszystkich dygnitarzy; spór i wrzawa okrutna; ani jednego słowa do Męża wyrzec nie można było. Stałam na boku, bo usiąść nie było na czem, i patrzałam na te najboleśniejsze obrazy. Jakiś podeszły człowiek, nieznany mi, zbliżył się do mnie i uprzejmie zapytał, co myślę z sobą robić, — „towarzyszyć Mężowi" — odpowiedziałam. — „Pani, nie rób mu tej boleści, przypatrz się, co on cierpi; czy rozumiesz, że obecność tu Twoja nie powiększy cierpień jego? Wróć, Pani, do domu, posłuchaj rady przyjaciela i wielbiciela cnót Męża Twego." — „Już ja dziś nie mam żadnego życzenia mego; jeżeli powrót mój do domu ma wpłynąć na spokojność Męża mego, to ja chętnie powrócę, jeżeli on na to zgodzi się." — Poszedł on do Męża i śpiesznie powrócił, a podając mi rękę, odprowadził do powozu: „śpiesz się, Pani, śpiesz, żebyś

jeszcze przejechać mogła"... — Na drugiej stronie mostu już znalazłam Moskali; armaty stały aż do mostu, przez całą Bednarską ulicę — przejechać niepodobna. Ja zasłoniłam sobie chustką oczy, aby tego widoku uniknąć. Pani Potkańska, która jechała ze mną, zaadresowała się, po francusku, do oficera, z prośbą, aby nam przejechać dozwolił. Natychmiast kazał na bok usunąć wszystkie działa, tak, abyśmy przejechać mogły. Jeszcze płaczącą, w domu, po mnie znalazłam siostrę, którą niemało mój powrót zadziwił. Na placu, przed Ratuszem, założyli obóz; pozasłaniałyśmy okna, aby na to nie patrzeć. Reszta dnia w ciężkiej gryzocie nam zeszła.

9-go. Cały dzień zamknięta; zdaje mi się, żem w grobie, że niema dla mnie już życia. Rozłączona z mężem, w ręku nieprzyjaciół tryumfujących... Boże, jakież to smutne położenie nasze!

10-go. Pan Onufry Małachowski, a nieco później Pan Obuch, przyszli do mnie, zapytując się, czy w położeniu tak nagłem nie zostałam bez funduszu etc. Podziękowałam uprzejmie za tę troskliwość i oświadczyłam, że nie potrzebuję.

11-go. Powiadają, że Mąż złożył komendę; po zrzuceniu Krukowieckiego był mianowany Wodzem naczelnym, lecz, po zmuszeniu go do podpisu kapitulacyi, kładąc pióro, prosił o uwolnienie go od tych obowiązków. — Kazano mu, czyli uproszono, aby odprowadził wojsko do Modlina — co też uczynił.

12-go. Pan Prądzyński wszedł dziś do mnie zmieszany i zapytał, czy Mąż mój wrócił? Zdziwiona i przerażona tem zapytaniem, słowa wyrzec nie mogłam; zebrawszy jednak wszystkie siły, zapytałam go nawzajem, czy nie jest słaby, albo czy się nie myli, czy wie do kogo przyszedł? — „Ale nie mylę się — odrzekł z zimną krwią, — Generał Małachowski niezawodnie wróci". — „A ja Panu mówię, że nie wróci". — Zimny pot na czoło jego wystąpił, ręce zatrzęsły mu się, chciał coś mówić, ale zamilkł i odszedł precie.

13-go. Ciągle mówią o tem, że Mąż ma powrócić. Ach, mój Boże, miałżeby jeszcze i ten cios dotknąć biedne serce moje!

14-go. Na ulicy dziś (pierwszy raz wyszedłszy z domu) jakiś człowiek nieznajomy szedł za mną i gadał, że Mąż mój przyjechał, że poszedł do placu — zameldować się. Miałam woal spuszczony, udałam, że nie słyszę, nie rozumiem i do pierwszego domu weszłam, żeby się go pozbyć. Niespokojna jednak wróciłam do domu; tak więc jak na torturach cały dzień przetrwałam, a za każdem ruszeniem drzwi mimowolny dreszcz mnie porywał.

15-go. Dziś mego Władzia oddałam na pensyę — jestem więc sama, wolna, mogę pierwszą chwilę schwycić, aby się połączyć z moim ukochanym Mężem.

16-go. Ciężkie, przykre życie moje; czemuż lepiej gruzy Warszawy nie przysypały nas.

17-go. Układałam sobie coś w kuferku, gdy ktoś wszedł do pokoju; odwracam się i spostrzegam pułkownika rosyjskiego. Wypadło wszystko, com trzymała, z rąk moich, ani przemówić, ani kroku postąpić nie mogłam. On, dostrzegłszy moje zmieszanie się, chciał odejść, lecz ja tymczasem przyszłam do siebie i zapytałam, co chce. — „Komisya kwaternicza dała mi tu bilet na kwaterę, gdybym był wiedział, że ona przez Panią jest zajęta, nie wszedłbym tu.“ — „Jutro, albo jeszcze dziś będziesz ją miał Pan wolną.“ Przysłano mi bilet na inną kwaterę, której nie przyjęłam.

18-go. Przeprowadziłam się do najętego przez siebie mieszkania na ulicę Niecałą, a na pociechę, na wstępie do nowego mieszkania, list od Męża i Gazetę Zakroczymską odebrałam. Obiecano śmiercią karać, ktoby je miał i czytał; ale czemże jest śmierć w porównaniu mąk, jakich doznajemy.

19-go. Spokojniejszą nieco jestem; mieszkam na ulicy, gdzie nikt nie przejeżdża; nie widzę nikogo; takiego mi potrzeba pokoju, bo dusza, ani głowa nie zdolna do niczego.

20-go. Czterokonny powóz zajechał przed dom mój: uprząż rosyjska i dwóch kozaków; zimny pot na czoło moje wystąpił. Wszedł do mego mieszkania ów ten sam pułkownik, co zajął po mnie kwaterę, trzymając w ręku ogromny list, z moim adresem, od Generała-gubernatora Witta. — „Czy nie mógłby mi Pan Pułkownik powiedzieć, co ten list zawiera?“ — „Generał-gubernator, dowiedziawszy się, że Panią ruszono z jej kwatery, polecił miastu, aby Pani dano taką kwaterę, jaką sobie wybierze najlepszą.“ — „Jeżeli o to tylko idzie, zwróć Pan Pułkownik list Generałowi i oświadcz, że z tej, którą sobie najęłam, jestem bardzo kontenta i żadnej innej nie potrzebuję. Żona Generała nieprzyjacielskiego na żadne względy zasługiwać nie powinna.“

21-go. Jeszcze się spodziewają tu Męża; ciągle o niego pytają się. On tego nie zrobi, mam nadzieję, żeby miał powrócić.

22-go. Ów pułkownik rosyjski taki powziął interes dla mnie, że dziś spotkawszy moją Marysię, wysiadł z kocza, pytał się, jak się mam i dodał po cichu: „Powiedz, Panna, Generałowej niech pisze do Męża swego, aby tu nie wracał; powtórz jej to wiele

razy, że ją Moskal o to prosi, któren zrozumiał waszą sprawę i który wysoką cześć cnocie oddaje.“

23-go. Pawłowski Generał wrócił; on mi powie coś o Mężu. Poślę prosić, aby do mnie przyszedł.

24-go. Przyszedł nakoniec i oczekiwany ów Gen. Pawłowski. O, zgrozo, co on gada? Wydrwił wszystko; co tylko mógł najgorszego wygadywał na wojsko polskie. Skończyło się na tem, że nadużył cierpliwości mojej, żem zmuszona była powiedzieć, iż żałuję mocno, żem go widzieć pragnęła, że ani usprawiedliwiać swego powrotu nie ma potrzeby, ani tych potępiać, co tam zostali.

25-go. Co dzień Kuryerek Warszawski, jak na szykanę, listę przybyłych z Modlina ogłasza.

26-go. Generał Morawski przyjechał; zamknął się i nikt go widzieć nie może. O, polskie serca, do czegoż wy dziś podobne?

27-go. Złe bardzo wieści. Ramorino pod Chwałowicami, w Galicyi, przeszedł granicę 17 t. m. Uradowali się na tę wiadomość Moskale — i ruch wielki wojska uważano.

28-go. Towarzystwo nasze posłało 200 dukatów do Modlina, na powiększenie skarbu.

29-go. Żadnej wiadomości od Męża; jaka to niespokojność moja.

30-go. List od Męża i Gazeta Zakroczymska. Nie wiadomo, kto go przywiózł; cudownym sposobem znalazłam go na stole. — Kto go tam położył — nikt w domu nie wie.

1-go Października 1831 r. Same fałsze; wymyślone na udręczanie nas wieści.

2-go. 6 Generałów dziś przybyło. Wielka liczba różnego stopnia oficerów. Szczęśliwa, że się dowiaduję, że Mąż nie wraca. Boże, Ty widzisz, jak pragnę połączyć się z nim, ale czyż mogłabym to znieść, aby on swoją sędziwą głowę ugiął przed Tyranami i wystawił się na publiczną pogardę, jakiej doznają powracający stamtąd. Bo dobry Polak nie może czule powitać brata, który szeregi wojska swego opuszcza jeszcze w chwili upadku, a potem jaka to wzgarda od Moskali! Dziś na moje oczy widziałam, przechodząc Senatorską ulicą, jak żyd z Moskalem wywoływali za przechodzącym oficerem, nazywając go rewolucyonistą; ten coś im odpowiedział, a ci, w najobelżywszych wyrazach, krzyczeli za nim i błotem rzucali. — Myślałam, że mi serce pęknie od żalu, patrzałam, czy lud zgromadzony nie ujmie się za nim, lecz prócz zżymania ramionami i kilku westchnień — nic biednemu w pomoc nie przyszło.

3-go. List od Męża; Pan Podczaski mi przywozi. Litość bierze, jak ci panowie są ambarasowani.

4-go. Co tu przyjeżdża! a któż tam zostanie? Spotkałam dziś Generała Bogusławskiego. — „Namawiałem — rzekł smutnie — Męża Pani, aby wrócił; nie chciał; na swoje stare lata został pomiędzy tą hordą.“ — „Jeżeli Generał znajdujesz, to lepiej, żeś powrócił, to mu winszuję, ale nie krzywdź tych, którym się zdawało, że tam ich powinność pozostać.“ — List od Męża z rąk Moskali odbieram; pisany przez Podpułk. Bielickiego.

5-go. Pan Majewski! Już żadnego widzieć nie chcę. Co oni gadają!

6-go. Pewien kasztelan N. prosił mnie, abym mu moich Gazet Zakroczymskich pożyczyła do przeczytania. Dałam; a dowiedziawszy się, że chory, poszłam je sama odebrać. Leżał w łóżku: „papiery Pani są tam pod komodą, po lewej stronie; weź je, bo one mi spoczynku nie dają“. Myślałam, że chory, w gorączce, ale większe jeszcze zadziwienie moje było, widząc opieczętowaną paczkę z napisem: „te papiery należą do Gen. Małachowskiej“. Tenże sam kasztelan oświadczył mi, że dla żony Generała Woyczyńskiego i dla mnie towarzystwo jakieś dobroczynności przeznaczyło pewną sumę. — „Co do mnie, Panie kasztelanie, nic mi nie brakuje i za takowe wsparcie dziękuję, ale należąc także do towarzystwa, które czynnem być nie przestaje, przyjmuję dla niego przeznaczoną dla mnie sumę, ileże kasztelan powiadasz, że Wasze nadal nie istnieje.“ — „Moja synowa przywiezie Pani“. — I tego samego dnia doręczono mi 400 zł.

7-go. Zaczynam być straszną dla ludzi; boją się mnie i nazywają egzaltowaną; mniejsza o to.

8-go. To prawda, żem do niczego. Pani Skrzynecka wyrzucała mi, że do kościoła teraz nie chodzę. „Pójdę — rzekłam, — jak mi Bóg udzieli pokoju duszy.“

9-go. Taż sama pani dziś mnie gwałtem zaprowadziła do kościoła Karmelitów. Ona wesoła, bo powiadają, że mąż jej jest w domu konsula austryackiego. Uważano na herbacie u tegoż konsula, że Pani S. filiżankę herbaty poniosła do innych pokojów.

10-go. Rocznica naszego ślubu. Jakże smutna, bolesna! O, kiedyż nam dozwoli Przedwieczny połączyć się z sobą!

11-go. Wojsko nasze, pod dowództwem Rybińskiego, 5 t. m. weszło do Prus. Już tedy wszystko skończone! Rozpacz bierze na takie wieści! Nie tak powinni byli skończyć rewolucyjni ludzie.

12-go. I Modlin poddał się 7 t. m. Zamość jeszcze... ale na co się to już przyda; zapewnie komendant nie wie, żeśmy wszystko stracili. Chwała mu, że nie jest łatwowiernym.

13-go. List od Męża. Stanisław [1]) przybył z nad granicy. Smutne jest to wszystko, com się dowiedziała od niego. Płakał, biedny, opowiadając, co się tam działo; i ja płakałam, bo któżby nie płakał!

14-go. Bohaterowie nasi, którzy tak śpiesznie dążyli do stolicy w nadziei, że ich Car do serca przytuli za ich wierność i odwołanie się do łaski, pomylili się bardzo. Wszyscy generałowie, którzy mieli udział w rewolucyi, jadą do Rosyi. Bardzo słuszna kara; który zapewnie, w głębi duszy, przekonany [2]), że podwójnie na nią zasłużyli: raz, że podnieśli bunt, jak on nazywa, przeciwko niemu, a powtóre, że opuścili sztandary wojska, któremu należało służyć aż do końca.

15-go. Co dzień po 2 generałów naszych wywożą — paradnie, bo ekstrapocztą, żandarmy na koźle. Dziś nie z ciekawości, ale przypadkiem taki konwój napotkałam.

16-go. O, jakżem szczęśliwa, że Męża tu niema. Niech się tuła po obcym kraju, byle kajdan nie dźwigał, byle Car nie nasycił nad nim zemsty swojej.

17-go. Najbliżsi przyjaciele nasi lękają się mnie. O, jakiż to wierny obraz charakteru ludzkiego. Nieszczęścia, to probierczy kamień.

18-go. Szczególniejszą i niespodziewaną wizytę dziś miałam. Jakiś Małachowski, oficer sztabowy z wojska rosyjskiego, który się mieni być synowcem Męża mego, po rodzonym jego bracie. Nie mając żadnego przekonania, że to tak jest — pokazałam mu wielką wątpliwość. On ciągle nazywał Męża mego swoim stryjem. Nie bardzo chciałam wchodzić z nim w rozmowę, lecz on sam, nie pytany, powiedział mi, że ma dozór nad lazaretami, że ponieśli wielkie straty, że do 17 tysięcy liczą poległych, że 11 tysięcy mają rannych, że wszystkich do Warszawy nie przywieźli, chcąc ukryć stratę swoją, że mają 3 wielkie lazarety w okolicach Warszawy, że stamtąd nocami rannych do Warszawy przewożą, że wielu generałów, pułkowników umiera z ran etc. — „Żałuję tak wielkiej straty ludzi, bo ludzi, poświęconych dla despotyzmu, żałować należy. Cieszy mnie to jednak, że powiedzieć nie możecie, żeście

---

[1]) Marczewski.
[2]) Car, t. j. Mikołaj I.

wzięli Warszawę bez oporu i straty ludzi.“ — Na odchodnem powiedziałam nieznanemu siostrzeńcowi, że lepiej i pewniej dla nas będzie, aby swoje wizyty do lepszych czasów zostawił.

19-go. List od Męża, z okolic Brodnicy. Jest zdrów, powiada, w domu obywatela znajomego. Niech obce starania i przyjaźń zastąpią mnie do czasu.

20-go. Drugi list od Męża — dawny, zaległy, ale zawsze miły, bo mi dowodzi troskliwości jego. Mogęż kiedy o tem wątpić.

21-go. Odpisuję mu; ale, co mu powiem. Mogęż przelaniem zgryzot moich na papier zwiększać niespokojność jego, lub mu malować obrazy tak smutne. — Nie; znajdę o czem innem z nim pomówić.

22-go. Już do Elbląga list mi adresować kazał.

23-go. Same smutne rzeczy, nie warte wspomnienia.

24-go. Nadzwyczajna zwołana dziś sesya. Prezydowała nam, pierwszy raz, po swej stracie Generałowa Sowińska. Dowiedzieliśmy się, że naszych braci dużo jest zamkniętych na Pradze, w pustym domu, że za całą żywność mają chleb i wodę. Chciano ciągnąć losy, na którą z nas wypadnie udać się do nich; nie było dosyć głosów za losowaniem. Oświadczyłam, że ja pójdę; uściskały mnie serdecznie i kilkadziesiąt dukatów zostały z kasy na ten cel dane. — Deszcz lał wielki cały dzień — przyjazna pora do kontrabandy. Wzięłam moją Joasię za towarzyszkę i udałyśmy się ku Pradze. — Przebyłyśmy most, minęłyśmy odwach — nikt nas się o nic nie zapytał. Ale gdzie szukać, nie wiedząc domu, gdzie są — i nie widząc żyjącej duszy, aby się o to zapytać. Przebiegłszy Pragę wzdłuż i wrzerz, spostrzegłyśmy z daleka pusty dom, a przed nim szyldwacha. Zbliżamy się; Moskal krzyknął: „nie wolno!“: wsunęłam mu rubla w rękę — on kolby odsunął, a my weszły. Co za widok! W startym barłogu leżało kilku rannych; było wszystkich przeszło 50-ciu, po większej części znajomych. — „Co chwila spodziewamy się, że nas dalej poprowadzą, — mamy 7-miu pomiędzy nami rannych, którzy trudno, aby iść mogli; są to rany, które już po wzięciu w niewolę zadano; prowadząc, kłuli bagnetami.“ — Jeden z nich odwrócił się i pokazał mi głowę swoją i kark, krwią zlany; nie znać było żółtego kołnierza od krwi, która się lała po nim. — „To kozacy, prowadząc nas, harapami cięli po głowach!“ — Smutny, okropny był stan ich. Wyszukałam kobietę, kazałam im rosół zgotować, a sama przyrzekłam wrócić do nich jutro, zapisawszy sobie, co który będzie potrzebował. A pozdrowiwszy czule mego szyldwacha, nie zapytana o nic —

przebiegłam Pragę. Zdałam raport towarzystwu — i rozbiegłyśmy się na kwestę odzieży. O płaszcze najtrudniej było, a tego najwięcej potrzeba było; dawał, co kto miał ciepłego. Jedna z kanoniczek miała znajomość z Rautensztrauchową; przez nią wyrobiłyśmy, że pozwolono złożyć naszych 7-miu rannych w Ujazdowskim lazarecie. Radość niepojęta dla mnie.

25-go. Pani Wulfers dała mi swój powóz; napakowałyśmy w niego, co można było — i sama jedna, w imię Boże, ruszyłam na Pragę. Przejechałam most i odwach — i o nic mię się nie zapytano. Przed domem więźniów podwójny szyldwach; nie chciano mnie puścić. Ja znowu do wczorajszego sposobu: — dwa ruble ułatwiły mi przejście, równie jak moim pakietom. Już się dystrybucya odbyła, kiedy wszedł zadyszany oficer z placu: „Kto, Pani, jesteś i za czyjem pozwoleniem przybyłaś tu?“ — „Jestem siostra tych panów, a pozwolenia nie brałam od nikogo.“ — „Daruje mi, Pani, bo ja z obowiązku to zapytanie robię; jak się Pani nazywa? — „Małachowska.“ — „A brat który Pani? — „Wszyscy.“ — „Mam polecenie zostać tu, dopóki Pani nie odjedzie; a któż się temu sprzeciwić może?“ — Jednak, widząc ambaras wielki tego grzecznego człowieka, pożegnałam czule wszystkich. Czułe było to pożegnanie; otarł oczy i obecny oficer rosyjski.

26-go. Przewieziono dziś do lazaretu 7-miu z Pragi naszych; resztę poprowadzono dalej.

27-go. Major Lipski — jeden z siedmiu — umarł w lazarecie. Nie zdawał się być bardzo cierpiącym; był bagnetem pchnięty, już kiedy był w niewolę wzięty. Moralne, zapewnie, cierpienie dobiło go.

28-go. Wywieziono mnie za Pragę na wieś, do jednej kolonii. Tak smutno, tęskno, gdzie tylko okiem rzucić. Tyle wozów, kibitek: zdaje się, że cała Moskwa przeprowadziła się na ziemię polską.

29-go. Był list do mnie i nie wydano mi go z poczty.

30-go. Dzięki dobremu memu Mężowi, odbieram długi od niego list i w nim załączony bilecik do Pani Suchorzewskiej.

31-go. Zrobiłam znajomość z Panią Suchorzewską. — Jeden mamy interes; robimy projekt jechania do naszych mężów. — Ale czy pozwolą?

Dr. Józef Frejlich.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Idea renesansu.

(Szkic informacyjny).

(Ciąg dalszy).

IV.

Filologiczne badania Burdacha stwarzają trwałą i pewną podstawę pod te poglądy, które w formie krytyki dzieła Burckhardta w lat kilkanaście po ukazaniu się jego książki wystąpiły.

Burckhardt mówi co prawda w dziele swojem o Fryderyku II. i nazywa go pierwszym nowożytnym człowiekiem, ale na ogół jednak odnosi się wrażenie, jakgdyby podzielał on teoryę „katastrof“: raptem, nagle i niespodziewanie zjawia się renesans jako coś zasadniczo przeciwnego wiekom średnim, jako coś całkiem niespodziewanie n o w e g o. Burckhardt ignoruje niemal ten ważny fakt doświadczenia historycznego, ktory trafnie formułuje Johannes W e i s s w tych słowach: „Das Neue ist immer im weiten Masse eine Umlagerung älterer Elemente nach einem neuen Prinzip auf Grund starkerer Kräfte und eigenartigen Erlebens der Wirklichkeit“ (Arch. f. Religionswiss. 1913, str. 428). Zresztą leżało to w tendencyi sposobu przedstawiania Burckhardta, lecz było zarazem i słabą strona jego książki, że przedstawiała ona obraz s t a n u, a nie dawała historyi s t a w a n i a się, r o z w o j u; jego ujęcie było statyczne a nie genetyczne. I tu punkt główny, o który zaczepili krytycy Burckhardta, Thode i Neumann. Krytyka ich dotyczy kwestyi zasadniczej: stosunku renesansu do t. zw. średniowiecza.

Przyznać trzeba, że, jeśli idzie o genetyczne ujęcie problemu renesansu, i tu Francuzi Niemcom udeptali drogi. Więc przedewszystkiem cenna a niedoceniona „Introduction“ Micheleta zawiera znacznie więcej, jak modny od czasów Burckhardta frazes o odkryciu świata i człowieka. W ósmym paragrafie pisze Michelet: „La Renaissance s'était présentée au douzième siècle comme la sibylle à cet ancien roi de Rome, les mains toutes pleines d'avenir, chargées des livres du destin. Il hésite; de cinq volumes, elle en brûle deux, et pour trois demande le même prix que pour cinq. Il hésite; deux volumes disparaissent encore dans les flammes. Il lui arrache ce qui reste, et il achète à tout prix. — C'est ainsi que la Renaissance, en son premier essor, offrit tout d'abord à l'homme les voies rapides et directes de l'initiation moderne; si bien que les raisonneurs et les mystiques même de ce premier âge se font entendre de nous bien mieux que tous leurs successeurs“. Umysł ludzki nie poszedł za tem pierwszem wezwaniem a droga dalsza wymagała znacznie więcej trudu.

W swojem poszukiwaniu za „pierwszym“ człowiekiem nowożytnym idzie Michelet jeszcze głębiej w wieki średnie niż Burckhardt lub Thode, uważa za niego Abelarda, jako autora dzieła „Scito te ipsum“ — „poznaj siebie samego“. W bardzo ciekawym rozdziale p. t. „De la création du peuple des sots“ określa Michelet bardzo trafnie znaczenie Abelarda. „Au moment ou Abailard hasarda ce petit mot que des idées n'étaient pas des êtres, que les abstractions qu'on appelait les universaux n'étaient pas des réalités, mais des conceptions de l'esprit, toute l'école se signa d'horreur. L'insurrection régulière commenca contre la raison. Abailard fit pour elle amende honorable, comme fera plus tard Gallilée... La raison étant prohibée, l'intuition restait peut-être. L'esprit, auquel on défendait de marcher, se mit à voler. Il s'appuya des puissances d'amour et de seconde vue qui permettent au génie d'atteindre la vérité lointaine et d'anticiper l'avenir. Les mystiques, par lesquels le pape avait accablé Abailard, vinrent, dans leur parfaite innocence, lui offrir la révelation de l'âge du libre Esprit“... (§ VI.).

Michelet pierwszy poznał i uznał zasadniczy problem psychologiczny renesansu: zwrot od racyonalizmu do irracyonalizmu i wskazał drogę do zgłębienia istoty renesansu. Wszelako następnie Burckhardt w swojem pojmowaniu renesansu jako objawu czysto racyonalnego sprowadził badania nad tą epoką, z właściwych torów, a to głównie dlatego, że nie uświadomił sobie należycie

problemu genezy renesansu. Michelet bardzo pięknie ujmuje problem przejścia od średniowiecza do renesansu w drugim paragrafie „Introduction". „Le moyen âge finit plusieurs fois avant de finir" „Il finissait dès le douzième siècle, lorsque la poésie laique opposa à la légende une trentaine d'épopées; lorsque Abailard, ouvrant les écoles de Paris hasarda le premier essai de critique et de bon sens. — Il finit au treizième siècle, quand un hardi mysticisme dépassant la critique même, déclare qu'à l'Évangile historique succède l'Évangile éternel et le Saint-Esprit à Jésus. — Il finit au quatorzième, quand un laique, s'emparant des trois mondes, les enclot dans sa Comédie, h u m a n i s e, transfigure et ferme le royaume de la vision. — Et définitivement, le moyen âge agonise aux quinzième et seizième siècles, quand l'imprimerie, l'antiquité, l'Amérique, l'Orient, le vrai système du monde, ces foudroyantes lumières, convergent leurs rayons sur lui". To, co Michelet pisze tu o zakończeniu wieków średnich, o tych wiekach średnich, które się niejako skończyć nie chciały, jest pierwszą próbą ujęcia problemu genezy renesansu.

Burckhardt tego problemu sobie nie uświadomił, czy też problem ten historyka kultury, pod tym względem przypominającego tradycye historyografii wieku oświecenia, nie interesował. I jak Winckelmann znalazł Herdera, który właśnie czysto systematycznemu i zanadto idealistycznemu traktowaniu dziejów sztuki greckiej przeciwstawił genetyczny punkt widzenia, tak i przeciw Burckhardtowi powstali tacy Herderzy. A pierwszym z nich był uczony francuski.

W r. 1885 ogłosił É m i l e G e b h a r t w „Revue des deux Mondes" szczegółową analizę dzieła Burckhardta p. t. „La Renaissance italienne et la philosophie de l'histoire. La theorie de Jacob Burckhardt". Gebhart zarzuca Burckhardtowi, że renesans zjawia się w jego przedstawieniu i znika całkiem nagle i niespodzianie „Ainsi les points d'attache de la renaissance, soit avec le moyen âge, soit avec le milieu du XVI-e siécle sont à peine visibles. Les personnes auxquelles la culture du moyen âge n'est point familière seront déconcertées par l'a p p a r i t i o n u n p e u b r u s q u e d u g é n i e n o u v e a u d e l'I t a l i e; elles ne saisiront que d'une façon confuse l'originalité de cette revolution intellectuelle, et v e r r o n t p e u t - ê t r e e n e l l e u n e c r é a t i o n s p o n t a n é e d e l'h i s t o i r e a b s o l u m e n t i n d é p e n d a n t e d u p a s s é i t a l i e n" (str. 344). Gebhart idzie — świadomie czy nieświadomie? — w ślady Micheleta „Ainsi, au moyen âge, la tra-

dition a primé l'invention personelle... Cependant, dès le XII-e siècle, l'Italie avait rejeté peu à peu des ses épaules la charge pesante du passé, et déjà une aurore de renaissance l'éclairait, quand le crépuscule des vieux âges semblait s'épaissir de plus en plus sur la France" (347).

Gebhart — podobnie jak i inni badacze francuscy — chciałby wykazać, że we Francyi zaświtała jutrznia odrodzenia. „La scolastique... avais eté, en un certain sens, à ses debuts, une tentative de liberté, et la premiere opposition de l'esprit de critique à l'autorité. Mais elle perdit tout, dès le principe par l'excès de la methode... C'est à la France qu'appártient en propre la scolastique". Gebhart podnosi znaczenie wpływów literatury francuskiej na włoską. „La littérature française .... exprimait à merveille ce que tout l'Occident pensait, regrettait, ou souhaittait". „Était il réservé à la France du nord de produire un Dante ou un Arioste, à la France méridionale d'avoir un Guido Cavalcanti ou un Pétrarque? La croisade des Albigeois n'a pas laissé à notre Midi le loisir de donner tous ses fruits; une civilisation noble, brusquement disparue, a emporté le secret de son propre avenir". „L'expérience historique du moyen âge a donc été complète pour la France. Notre civilisation n'a point su prolonger ou rajennir son originalité. La culture première de l'Occident a produit chez nous ses dernières conséquences. L'Italie, rebelle de bonne heure à cette culture, a fait manquer chez elle l'experience. Son moyen âge portait les germes les plus féconds de sa renaissance" (351). Tak więc hiperkultura średniowieczna zaciążyła zbytnio na Francyi, a Włochy miały specyalne warunki do wytworzenia nowej kultury. Jakież były te warunki? Gebhart podnosi najpierw mieszaninę etniczną najeźdźców: „elle ne prit de ses maîtres que ce qui lui plut et arrangea à son grè sa civilisation, sa vie publique et sa fois".

Drugi moment, na który Gebhart kładzie nacisk — obok etnicznego — to moment religijny. „...le plus grand effort des Italiens fût dirigé du côté de l'indépendance religieuse". Gebhart zwraca uwagę na głosy włoskie, które już bardzo wcześnie domagają się reformacyi. Bardzo trafnie charakteryzuje już tu Gebhart specyficznie włoski chrystyanizm. „Le christianisme italien est une création singulière. Il tient beaucoup de la foi primitive; le dogme étroit, la morale rigide, la pratique sévère, la hierarchie gênent fort pen son indépendance: l'inspiration individuelle, la communion directe du fidèle avec Dieu, qui forment

le fond de la religion franciscaine, sont peut-être les plus essentielles traditions de l'âme italienne. Une pensée parait souvent chez leurs premiers écrivains, tels que Dante et Francesco de Barberino: c'est dans le coeur qu'est la religion vraie". A zatem mistykę franciszkańską i włoską uważa Gebhart za punkt ważny na drodze do wyzwolenia człowieka.

Ale i w zakresie czysto rozumowym „dans le domaine rationnel" zachowują Włochy już w wiekach średnich pewną autonomię. „Elle pense librement et d'une façon très saine". Scholastyka była we Włoszech wyłącznie udziałem teologów i mnichów i rychło stała się przedmiotem pośmiewiska. Moraliści włoscy, jak Brunetto Latini, a także i Dante, idą w swych opisach natury i serca ludzkiego jedynie drogą doświadczenia, a i w dziełach naukowych Włochów niema czczej dyalektyki. Produktem tego samodzielnego rozumu jest sceptycyzm religijny, który n. p. we Florencyi występuje już jaskrawo z początkiem w. XII. Wolnomyślniejsi Gibellini, mają już wybitne rysy ludzi nowoczesnych.

Reasumując tedy swoje rozważania, dochodzi Gebhart do następującej konkluzyi: „Tandis que la France s'arrête dans l'oeuvre de la civilisation, l'Italie ouvrière, plus tardive est toute prête a inventer une civilisation nouvelle. Elle tient en ses mains l'instrument de tout progrès, l'art de penser clairement: elle sait opposer à l'autorité de la tradition la valeur rationelle et l'énergie de l'individu. Elle passe d'une façon presque insensible du moyen âge a la renaissance" (354).

Przyznać trzeba, że Gebhart nie tylko w sposób bardzo zręczny wyczuł słabą stronę dzieła Burckhardta, t. j. brak genetycznego ujęcia problemu, ale wskazał także główne punkty widzenia, które przy rewizyi poglądów Burckhardta należało wziąć pod uwagę a więc moment religijny i narodowy (etniczny). Gebhart też pierwszy zwrócił uwagę na to, że renesans nie był czemś, co z nagła i z nienacka się zjawiło, lecz że miała tu miejsce powolna ewolucya na specyalnem podłożu narodowem, nie bez wpływów obcych. Podczas, gdy Gebhart poddał poglądy Burckhardta krytyce zupełnie bezstronnej, wolnej od wszelkich uprzedzeń kulturalno-politycznych, krytycy niemieccy — Thode i C. Neumann — przeciwstawili ideom Burckhardta swoje dość jednostronne teorye.

W tym samym roku, w którym Gebhart ogłosił swoją recenzyę książki Burckhardta, wydał Henry Thode dzieło „Franz von Assisi und die Anfänge der Kunst der Renaissance in Italien" (Berlin 1885). To, co Michelet zaznaczył, a na co

i Gebhart wskazywał, uczynił Thode przedmiotem obszernego i podstawowego dzieła, w którem wziął sobie za cel wykazać znaczenie ruchu franciszkańskiego dla rozwoju nowoczesnej kultury a specyalnie dla renesansu. „Mit Franz und in Franz erfährt die mittelalterliche Menschheit die volle Gewalt der jedem Einzelnen innewohnenden Gefühlskraft, und diese unsere Erfahrung führt eine von den dogmatischen Allgemeinbegriffen sich befreiende erste Erkenntnis des eigenen Wesens mit sich“ (521). Prosty, naturalny, szczery pogląd Franciszka z Assyżu na religię chrześcijańską, wyrażony w kazaniach i poezyach, powołał do życia nową sztukę chrześcijańską a właściwy Franciszkowi i jego uczniom zwrot do kontemplacyi wpłynął na pogłębienie zajęcia się przyrodą, w której widziano obraz boski. Wielki ruch na polu budowy kościołów i klasztorów, przyozdobionych freskami, obrazami do ołtarzy i pomnikami wszelkiego rodzaju otwierał nowe drogi dla rozwoju sztuki. Jeśli sobie uświadomimy związek pomiędzy religijnemi usiłowaniami mnichów żebraczych a podnoszącą się do życia działalnością artystyczną w w. XIII. i XIV., to obserwator sztuki Quatrocenta musi przyznać, że opiera się ona na sztuce wieku poprzedniego a stanowi tylko dalszy stopień do doskonałości, osiągniętej następnie w dziełach Leonarda, Rafaela i Michała Anioła. Jest to jedna wielka zamknięta w sobie linia rozwoju. „Es kann keine Frage sein, dass um 1400 eine neue Phase in der Entwicklung eintritt, und das hat nichts Verwunderliches. Auf zwei Jahrhunderte hinaus hatte jene Reform des Franz stark und nachhaltig gewirkt — da begannen in Italien neue Ideale das Volk mächtig zu locken und anzuziehen. Petrarca und Boccacio sind die ersten, welche sie voraus verkünden, erst um die Wende des Jahrhunderts werden sie das Gemeingut Aller. Die Bewegung der Humanitat, wie wir die Volksbewegung des XII. und XIII. Jahrhunderts zu bezeichnen gewagt, schlägt eine neue Richtung in dem »Humanismus« ein“ (524). Tym nowym pierwiastkiem charakterystycznym dla tego nowego ruchu to pierwiastek starożytny.

Poglądy swoje na istotę renesansu przedstawił Thode obszerniej w czasopiśmie „Bayreuther Blätter“ (XXII., 134). Już to samo określa dokładnie ich charakter. Thode należał do gminy czcicieli Ryszarda Wagnera i zgodnie z późniejszymi poglądami mistrza przypisywał pierwiastkowi chrześcijańskiemu wielkie znaczenie kulturalne. Stąd też — i tu występuje całe przeciwieństwo jego poglądu do Burckhardta, a jeszcze bardziej naturalnie do Nietzschego — akcentuje wielką rolę, jaką odegrał pierwiastek religii w re-

nesansie. W swej książce o Michale Aniele (w której II-gi tom owa rozprawa o renesansie jest wpleciona jako wstęp) pisze Thode: „Heute beginnt die zuerst in meinem Buche über Franz von Assisi dergelegte grundverschiedene Ansicht, nach welcher ein grosser ununterbrochener Zusammenhang in dem Werden dieser Kunst von zwölften bis zum sechzehnten Jahrhundert herrscht und deren Quellen und Ideen in der sozialen und religiösen Bewegung des zwölften und dreizehnten Jahrhunderts zu finden sind, sich zu verbreiten“ (12). „Eine alle christlichen Völker des Occidents ergreifende mächtige religiöse Erregung ist es gewesen, welche, Gefühl und Phantasie befruchtend, im zwölften und dreizehnten Jahrhundert die Höchstes verheissende Wandlung in den geistigen Anschauungen und damit in der gesammten Kultur hervorrief“ (14). Uosobieniem tego religijnego podniecenia i tego pragnienia wejścia w osobisty, bezpośredni stosunek do Chrystusa jest właśnie Franciszek z Assyżu. Następstwem zaś działalności jego i jego zwolenników, działalnosci, ożywionej naiwną wiarą, było odkrycie czysto ludzkiego pierwiastka w chrześcijańskiej religii. To zaś połączenie pierwiastka czysto ludzkiego z boskim stwarzało po raz pierwszy od czasów mistycznych poglądów greckich podstawy prawdziwej i wielkiej sztuki. Tą wielką sztuką, jest dla Thodego naturalnie twórczość Dantego, w której przeważa mistyczny pierwiastek franciszkański. To podniecenie religijne nadaje też piętno filozofii, jak tego dowodem Ficino.

I Carl Neumann, uczeń Burckhardta, z podobnego jak Thode punktu widzenia atakuje poglądy swego nauczyciela i występuje jako obrońca niedocenionego przez Burckhardta średniowiecza i pierwiastka chrześcijańskiego w renesansie. Neumann sądzi, że Burckhardt w dwu kierunkach odsuwał się od sprawiedliwej oceny średniowiecza. W całym — po generacyi „Młodych Niemiec“ odziedziczonym — poglądzie na świat Burckhardta tkwiło przekonanie o głębokiej przepaści między średniowieczem i odrodzeniem, podobnie głębokiej jak między chrześcijaństwem a pogaństwem. Sądził on, że są to dwa bieguny, które się nigdy zetknąć nie mogą. Ta antyteza „Młodych Niemiec“ przeszła w krew Burckhardta, to też akcentował on bardzo silnie świecki charakter włoskiego renesansu. Z drugiej strony kierował się Burckhardt polemiką Włochów z epoki rozkwitu renesansu, zwróconą przeciw barbarzyńskiej sztuce „gotyckiej“, którą przeklinał n. p. Filarete jako objaw barbarzyństwa. Słowo „rinascimento“ jest, zdaniem Neumanna, wytworem włoskiej kliki, ktora dawała w ten sposób

wyraz pogardzie dla „barbarzyńców“, a zarazem dumną była z tego, że płynie w niej niebieska krew starożytności. Ci zaś zaślepieńcy włoscy nauczyli patrzeć potomność na średniowiecze pod kątem widzenia spustoszenia przez nie całej kultury, co miało być dziełem barbarzyńców i Gotów, niszczycieli kultury, stworzonej przez starożytność.

Jeżeli niektórzy badacze renesansu wbrew teoryi katastrof nie chcieli w nim uznać niczego niespodziewanego i nagle się zjawiającego i wskazywali na to, jak powoli rozwinął on się z wieków średnich, to nie brak było znowu z drugiej strony uczonych, którzy poszli w tym kierunku za daleko i twierdzili, że właściwie wszystkie tendencye renesansu tkwią już w średniowieczu. Wymienić tu wypada przedewszystkiem z dawniejszych prac studya Waltera Patera, a z nowszych S. Singera. W wykładzie p. t. „Mittelalter und Renaissance“ stawia sobie Singer za cel zbadać, czy istnieje zasadnicza różnica między typem człowieka średniowiecznego a człowieka renesansu, jak go kreśli Burckhardt. Wynik rozważań swoich formułuje Singer sam. „Aber das Gesagte mag genügen, um zu zeigen, dass das Mittelalter keine einförmige Masse ist, dass das Schlagwort von der Entdeckung des Individualismus nur sehr cum grano salis zu verstehen ist, dass sämtliche Tendenzen der Renaissance sich schon im Mittelalter vorfinden, mehr oder weniger entwickelt, und dass sämtliche Tendenzen des Mittelalters in der Renaissance wiederkehren“ (str. 28).

Biorąc wszelako za punkt wyjścia zmiany typu człowieka, nie moglibyśmy właściwie jednak nigdy dojść do żadnego podziału na okresy, epoki: pewne typy ludzi bowiem z wszelką pewnością stale i ciągle się powtarzają, i co do tego ma Singer naturalnie racyę, że to, co raz rzeczywiście żyło, to żyje przez wszystkie czasy. Ale w tym wypadku nie o to chodzi, lecz o to, na jakiem tle, w jakiem środowisku występuje ten typ człowieka, oraz w jakiej formie żyje właśnie to, co z ubiegłych epok pozostaje. Wywody Singera są bez kwestyi dla poznania duchowego życia wieków średnich interesujące, ale wynik, do jakiego dochodzi, jest co najmniej naiwnym. Wszelako zasługują te wywody z dwu innych względów na uwagę jako objaw do pewnego stopnia symptomatyczny. Są one wyrazem reakcyi przeciw operowaniu tego rodzaju terminami, jak „nowy człowiek“, „człowiek średniowieczny“; są to terminy zgoła nieuchwytne i nie dające się ani ściśle określić, ani dokładnie czasowo wyznaczyć: pewne typy ludzkie i formy

struktury psychicznej powtarzają się bowiem stale i zawsze. W tem tkwi głównie słaba strona całego podziału na okresy Lamprechta i jego szkoły, która wysuwa psychologiczny punkt widzenia na plan pierwszy. Pewne typy człowieka powtarzają się, ale w pewnych określonych epokach występuje jako wyraz większej ilości pokrewnych objawów, zjawiających się na tej samej powierzchni historycznej, także pewien pogląd na świat i życie, który raczej i łatwiej jest uchwytny, niż specyficzny rodzaj indywidualnych przeżyć. Tak więc wywody tego rodzaju, jak Singera, przestrzegają przed używaniem takich określeń, jak „indywidualizm“, na oznaczenie epok, — bo głębsze i większą sympatyą kierowane zagłębianie się w wiekach średnich dowodzi n. p., że do wykazania „nowości“ renesansu takie określenia nie wystarczają.

Ale i z innego względu, ogólniejszego, są wywody Singera — a również Thodego, Neumanna — ważne. Ujawnia się w nich dążność do podkreślenia ciągłości życia historycznego, tak silnie akcentowana przez Rankego przeciw usiłowaniu odgraniczania pewnych zamkniętych w sobie epok, rzekomo się powtarzających, lub wykazujących pewną równoległość i równobieżność rozwoju.

Krytyka poglądów Burckhardta na stosunek średniowiecza do renesansu, choć może nieco jednostronnie i mało objektywnie prowadzona, ma dla zrozumienia dziejów życia nowożytnego i dla usunięcia pewnych przesądów niemałe znaczenie. Zamiast przepaści i jaskrawego przeciwieństwa w samej istocie epok występuje tylko pewna zmiana duchowa, uwarunkowana biegiem czasu. Słusznie twierdzi Goetz (Histor. Zeitschr. 98, 51): „In der Erörterung dieser neuen Anschauungen von der Renaissance stehen wir heute und es handelt sich dabei genau so stark, um die Wertung der Renaissance. wie um die des Mittelalters. Denn das hat sicherlich diese neue Forschung zutage gefördert, dass das Mittelalter voll von sog. Renaissancezügen ist. Ja mehr sich uns dieses scheinbar starre Leben erschliesst, um so reicher, eigenartiger, menschlicher wird es. Es zeigt sich, dass nur unsere Augen schärfer werden müssen. um richtig zu sehen.“ W miarę, jak te studya średniowiecza będą postępować, zacierać się będzie ta ostra różnica. którą doktryneryzm historyków w wieku oświecenia po raz pierwszy silnie zaakcentował, a którą znów entuzyazm romantyków bez śladu chciał zatrzeć. Wiele rysów, które zdaniem Burckhardta są cechą „nowego człowieka“, okaże się może jako właściwość specyalnie włoska.

Następstwem poglądu, który akcentuje pewne wspólne cechy średniowiecza i renesansu, jest też reakcya, w formie zwrotu intenzywniejszego ku badaniu wieków średnich. „Die Bewunderung für die Renaissance führt den Historiker notwendig zu einer vermehrten und immer wärmeren Anteilnahme am Leben des Mittelalters“ (Goetz). Tak się przedstawia konsekwencya pracy historycznej, w którą poglądy Burckhardta wprowadziły pewien ferment — lecz zarazem ożywczy prąd. Ostateczny wynik tych studyów może okazać się wreszcie bardzo radykalny.

Badania lat ostatnich wykazały, że cała ta antyteza, na której oparł konstrukcyę swoją Burckhardt, a która przenikała historyozofię francuską i niemiecką od Winckelmanna i Goethego aż po Nietzschego, opiera się w gruncie rzeczy na praktycznej potrzebie podziału na okresy, jaki się wyłonił u nauczycieli historyi w w. XVII., a opanował historyografię w. XVIII. Dilthey bardzo trafnie nazwał wiek XVIII. wiekiem najbardziej ze siebie zadowolonym. Wiek XVII. i XVIII. uważał się za dziedzica wielkich przewrotów duchowych odrodzenia i reformacyi, które rozproszyły „ciemności“ wieków średnich („Petrarque a été un des premiers pour prononcer le mot, à accrediter la fable de ténébres du moyen âge“. Cochin w Rev. d. quest. hist., LIII., 591). Wieki średnie w przekonaniu tych historyków były przerwą w rozwoju kultury, której podstawy dała starożytność. Tę to epokę przerwy w rozwoju kultury nazywali oni „media aetas“. Ponieważ zaś ci protestanccy szkolarze (jak się Burdach wyraża) starali się podział na epoki uskutecznić podług możliwie bijących w oczy kryteryów, więc datowali koniec średniowiecza bądźto od odkrycia Ameryki, bądź od zdobycia Konstantynopola, albo wreszcie od reformacyi Lutra. Przeciw każdemu z tych fundamentów podziału podnieść można poważne zarzuty. Pojęcie średniowiecza jest wytworem w. XVII., wieku, najmniej może rozumiejącego historyę, jest ono, jak Burdach, powiada, legendą naukową, która nie miała ani celu, ani zamiaru zgłębić istoty i genezy pewnej epoki życia duchowego. Badania nad istotą i genezą renesansu przyczyniły się wiele do obalenia tej legendy, w którą w szkole wciąż nam jeszcze wierzyć każą.

ZYGMUNT ŁEMPICKI.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wyprawa Zaliwskiego 1833 r.

Ciąg dalszy.

ROZDZIAŁ II.

Na Emigracyi.

Jeszcze w czasie powstania Zaliwski jeden z pierwszych podał Chłopickiemu plan prowadzenia wojny partyzanckiej. Nie był to wybryk fantazyi. Obok chęci działania na własną rękę, niezależnie, było tam wiele zdrowego sensu. Na własnym terenie, nie znanym tak dobrze najeźdźcom, wojna partyzancka zawsze okazywała się użyteczną, ziemia zaś polska, mimo braku gór bezdrożnych, jak w Hiszpanii, miała na pomoc oddziałom partyzanckim nieprzebrane lasy, grząskie bagna, moczary. Myśl też prowadzenia wojny partyzanckiej, zbawienna w czasie powstania listopadowego, gdy stały na usługi ponadto wojska regularne, pojawiała się potem zawsze w chwili przygotowań do ruchu. Na emigracyi wychodziły przez wojskowych pisane dzieła, traktujące o partyzantce, n. p. Stolzmana[1]), jako o jedynej możliwej formie prowadzenia walki o niepodległość. Myśl przeto, którą na Podgórzu powziął Zaliwski, nie była już ani nowa, ani ostatnia, nie

[1]) „Partyzantka czyli wojna dla ludów powstających najwłaściwsza" przez Karola Bogumiła Stolzmana, byłych wojsk polskich kapitana artyleryi pierwszej klasy. Paryż i Lipsk. Brockhaus i Avenarius 1844.

może więc zdziwić, że znalazła zwolenników. Należałoby jeszcze wniknąć w ówczesny stan psychiczny rozbitków polskich. Słusznie zauważa któryś z pamiętnikarzy, że wychodźcy polscy nie czuli się pobici, zwaliwszy winę na kilku „zdrajców“ sprawy narodowej, nie tracili nadziei, że stanie ona jeszcze przed forum Europy. Myśl ta objawiała się dwojako, bądź to jako zabiegi dyplomatyczne na obcych dworach, bądź też, jako rozprawa orężna, jako ogólna rewolucya w niedalekiej przyszłości. Nadzieje te właśnie zaczęły przybierać realne kształty w umyśle Zaliwskiego; pragnął on drogą mu już znaną, rozpocząć na nowo działanie, — drogą tajnej roboty i małej wojny. Krakowski, były major wojsk polskich, jeden z głównych następnie tajnych agentów Zaliwskiego w Poznańskiem, tak przedstawia stan umysłów na Podgórzu: „Na Podgórzu ze względu na niepewne położenie obecni tam różne podawali myśli, różne roili plany. Jedni, żeby pod dowództwem Skrzyneckiego uformować Legiony i udać się do Francyi, drudzy chcieli w obcą wejść służbę, n. p. w wojsku austryackiem, lub gdziekolwiek by ich przyjęto, inni nareszcie sami nie wiedzieli, czego się chwycić“ [1]).

Wśród tego życia nawpół obozowego, poczynił Zaliwski bliższe znajomości, lub odnowił dawne, warszawskich jeszcze sięgające czasów. Poznał tu wielu obywateli galicyjskich, którzy z chętną przybywali pomocą; — przedewszystkim wszedł w dość zdaje się bliskie stosunki z ks. Henrykiem Lubomirskim, jedną z najwybitniejszych pod względem patryotyzmu osobistości. Tu niedaleko w cyrkule wadowickim mieszkał dzierżawca Kalwaryi Brandys i bracia Stawińscy z Kleczy, z którymi zawarł znajomość przez Lubomirskiego [2]). Poznanie to następnie wyzyskał, adresując do tych w nadgranicznym cyrkule osiadłych obywateli, swoich emisaryuszy. Z dawniejszych znajomości bawił na Podgórzu hr. Stanisław Worcel, powstaniec wołyński, jeden z najskrajniejszych następnie demokratów polskich, Jozafat B. Ostrowski, dziennikarz warszawski i klubowiec, umysł żywy i przedsiębiorczy, znany na bruku warszawskim z ostrego pióra i dowcipu, Bolesław Gurowski brat Adama, jedna z najbrzydszych figur na emigracyi. Z tymi pozostawał Zaliwski w ściślejszych stosunkach i przed nimi zapewne wyjawił swoje plany. Niema wszakże pewności, czy już

[1]) Arch. kraj. (vern.). Zeznania Krakowskiego przed sądem krym. w Warszawie, przesłane sądowi krym. lwowskiemu.

[2]) Arch. kraj. Zeznania Zaliwskiego.

wtedy całe przedsięwzięcie było w jego umyśle jasno skrystalizowane, czyli też pomogły mu w tem inne, bardziej zdolne od niego jednostki na emigracyi. „Zaliwski ciągle był milczący — zeznaje Krakowski — i zdania swego nie odkrywał, dopiero razu pewnego chodząc ja z tym Zaliwskim po przedmieściu Podgórza zaprowadzony zostałem do mieszkania Worcela hrabiego, którego dotąd nie znałem i dopiero Zaliwski nas poznajomił. Zastaliśmy u tego Worcela sześć osób, między nimi byli 1-o Bolesław Gurowski, 2-o Ostrowski, innych nazwisk nie pamiętam“ [1]). Na tem zebraniu, którego daty nie znamy, objawił niewątpliwie Zaliwski swoją myśl, przynajmniej musiał to uczynić częściowo, w zeznaniach przeczy bowiem usilnie, jakoby w Podgórzu został ukonstytuowany przez niego tajny związek, nastąpiło tu jedynie porozumienie między Zaliwskim a trzema innemi osobami, któremi byli: Worcel, Krakowski i Ostrowski, a na mocy którego mieli oni być łącznikami między Zaliwskim i W. Ks. Poznańskiem, gdzie miał osiąść Krakowski, Galicyą, gdzie działać przyrzekł Worcel i Francyą, dokąd się udawał Ostrowski. Działalność ich miała się jedynie ograniczać na dokładnej ewidencyi bawiących w tych krajach byłych wojskowych polskich „z wyszczególnieniem ich zdolności i odznaczenia się w ciągu wojny, oraz ogólnej ich liczby“ [2]); zebrane informacye mieli ci agenci niejako — przesyłać w raportach miesięcznych Zaliwskiemu do Paryża pod umówionym adresem poste-restante. To był początek działań Zaliwskiego, których kolebką jest Podgórze. Z myślą i planem zazdrośnie ukrytym ruszył Zaliwski po ukończonej kwarantannie, na emigracyę [3]). W towarzystwie posła Ledóchowskiego, tego samego, który pierwszy na sejmie okrzyknął detronizacyę Mikołaja, opuścił Zaliwski Podgórze, udając się przez Węgry, Styryę, Bawaryę, Würtenberg i Baden do Francyi. Ks. Lubomirski udzielił mu wskazówek, dokąd się ma udać na Węgrzech i wskazał przedewszystkiem dom Hallera jako

---

[1]) Temi osobami byli: Worcel, Ostrowski, Krakowski, Gurowski, Zaliwski i według wszelkiego prawdopodobieństwa poseł hr. Jan Ledóchowski, z którym Zaliwski tu ścisłą zawarł znajomość, a następnie z nim razem odbył podróż do Paryża.

[2]) Zaliwski. Zeznania.

[3]) Arch. kraj. Sprawa Ossolineum, fasc. II., z papierów Lubomirskiego znajduje się: Kwit, Na zł. polsk. sześćset czterdzieści i trzy Nr. 643, które odebrałem a konto żołdu mego za miesiąc sierpień i wrzesień z kasy JWJenerała Brygady Różyckiego. Podgórze, 7. października 1831. Zaliwski, pułkownik.

przyjaciela Polaków [1]). Pobyt Zaliwskiego i Ledóchowskiego na Węgrzech nie musiał być bezcelowy, jeżeli uwzględnimy dalszą politykę emigracyi, skierowane odezwy pod adresem Węgrów, a także przez Węgrów w czasie powstania okazywane sympatye; tembardziej musimy zastanowić się nad tą podróżą, że są pewne poszlaki, że Zaliwski i Ledóchowski swego przejazdu przez Niemcy południowe użyli na pewego rodzaju propagandę. Musi to jednak zostać domysłem, gdyż konkretnych danych na to, że podróż przez Węgry miała jakiś cel polityczny, nie posiadamy. Podróż przez Węgry była wprawdzie zboczeniem z drogi, ale można to i tem tłumaczyć, że tak mocno skompromitowani Zaliwski i Ledóchowski, nie uważali za dość bezpieczne odbyć ją via Kraków. W każdym razie przejazd i pobyt Zaliwskiego na Węgrzech zwrócił uwagę rządu austryackiego, który wielce niechętnem okiem patrzył na każde zbliżenie węgiersko-polskie. Sedlnitzky, minister policyi w Wiedniu, zwrócił się przeto pismem prywatnem [2]) do tajnych agentów w Peszcie, wtedy, kiedy Zaliwski bawił już na bruku paryskim (29 stycznia 1832), że wielu polskich wychodźców przeszło teraz przez Węgry, między innymi poseł hr. Jan Ledóchowski i Józef Zaliwski. Dostali oni paszport z namiestnictwa węg. z dnia 12 listopada 1831, Ledóchowski na imię Węgra Jana Antonowicza, kupca wełny z Abony, zaś Zaliwski, jako jego pomocnik (commis) pod nazwiskiem Jana Schmidta; fałszywe paszporty posłużyły im na podróż do Bawaryi, gdzie zatrzymali się w Freylassing, tu mieli złożyć swoje incognito i występować pod własnem nazwiskiem. Z Bawaryi wystosowali dziękczynne listy pod adresem księgarza Ottona Wiganda w Peszcie dla kapitana Schillinga i hr. Stefana Karoly'ego. Odpowiedzi [3]) tajnych agentów brzmiały, że Polacy ci przybyli do pogranicznego Sawoskiego komitatu, do Sebes do Fr. hr. Hallera; zatrzymali się tu czas jakiś, i stąd odesłani zostali do Tot, wsi o 2 mile od Pesztu odległej, własności hr. Stef. Karoly'ego, a tu bawili już tak długo, dopóki za pośrednictwem księgarza Wiganda nie otrzymali paszportów na fałszywe nazwiska. Doniesienie to tajnej policyi obejmuje także charakterystykę tych Węgrów, którzy okazują jawną przychylność dla

[1]) Zeznania Zaliwskiego.

[2]) Arch. Ministerstwa spraw wewnętrznych we Wiedniu, fasc. 1256, (740/1). Privatschreiben Sedlnitzkego (Praesident der Polizeihofstelle) z dnia 29 stycznia 1832.

[3]) Minist. spraw. wewn., fasc. 1253, Nr. 356. Załączniki do noty z d. 7 marca 1832 Sedlnitzky do Metternicha.

sprawy polskiej. Mianowicie Stefan Karolyi zupełnie jawnie przyznaje się do demokratycznych przekonań, któremi przejął się w Paryżu, gdzie właśnie w czerwcu 1830 bawił. Księgarz Wigand, znany jest powszechnie ze swoich przekonań liberalnych i radykalnych, jego księgarnia mieści w sobie wszystkie, za granicą wydawane, a tu przez cenzurę zabronione broszury rewolucyjnej treści. Również Schilling, człowiek bardzo inteligentny, wyznaje zasady liberalne. Muzyk Wagner, człowiek po za tem spokojnego usposobienia, zajął się sprawą polskich wychodźców jedynie z litości i z tej tylko przyczyny urządzał składki na rzecz emigrantów.

Z Bawaryi udali się Zaliwski i Ledóchowski do Würtembergii; w Stuttgardzie Zaliwski pod przybranem nazwiskiem pułkownika Wysockiego i Ledóchowski (który nazwiska nie zmieniał) zeszli się z malkontentami tamtejszymi i przybyłymi z Ludwigsburga Lohbauerem i Koseritzem, którzy umyślnie zjechali do Stuttgardtu, celem widzenia się z przejeżdżającymi tamtędy polskimi wojownikami[1]). Porucznik Koseritz liberał (Ultraliberaler) pałał chęcią poznania któregoś z polskich rewolucyonistów, to też przedstawiony Zaliwskiemu i Ledóchowskiemu natychmiast zwierzył się przed nimi ze swoich przekonań politycznych. Zaliwski (Wysocki) musiał opowiedzieć całą historyę powstania, a gdy Koseritz na jego prośbę przyrzekł wspierać wedle możności przejeżdżających przez Ludwigsburg do Francyi Polaków, kazał mu Zaliwski zwrócić uwagę na tych, którzy się wykażą świadectwem zachowywania się dobrego w czasie rewolucyi i dowodami należenia do towarzystwa, którego główne siedlisko jest w Paryżu, mianowicie Amis des peuples[2]). Świadectwo takie, według zeznań Koseritza, miało nagłówek Amis des peuples, arkusz podzielony był na dwie kolumny; na prawej po polsku, na lewej po francusku, wydrukowane były zasady towarzystwa, były to: oświata ludów i przygotowywanie ich do wolności. Na odwrotnej stronie

[1]) Arch. kraj. Zeznania Koseritza, porucznika w Ludwigsburgu, przesłane sądowi krym. we Lwowie.

[2]) Aktenmässige Darstellung des im Königreiche Würtemberg in den Jahren 1831, 32 u. 33 von Militär u. Zivilpersonen unternommenen Hochverrathes u. sonstiger revolutionärer Umtriebe. Vortrag der Bundeszentral Behörde § 8. Häusslerische Gesellschaft. Ciekawe, czy w istocie Towarzystwo patryotyczne stało w jakimś związku z paryskim Amis des peuples. Między innymi wspomniał Zaliwski, że towarzystwo to liczyło przed rewolucyą 60 członków, liczba zgodna z podaną w dziełku o rewolucyi i w zeznaniach kryminalnych we Lwowie liczbą zjednanych przez Zaliwskiego do spisku przed rewolucyą.

tego świadectwa było imię i nazwisko właściciela, jego ranga i zasługi i zaznaczone, że do towarzystwa Amis des peuples należał. Świadectwa te najczęściej podpisywane były przez Lelewela. Faktycznie wojskowi w Ludwigsburgu założyli komitet polski dla wspierania Polaków; pierwszymi członkami byli Koseritz (on postawił wniosek), Tafel, Rödinger, Lohbauer, Mebold i Müller. Posiedzenia tego towarzystwa odbywały się w mieszkaniu masarza Häusslera i stąd poszła nazwa „die Häusslerische Gesellschaft". Cel jego jawny, był humanitarny, ukryty, rewolucyjny; ono też pierwsze stało się łącznikiem między wojskowymi a cywilnymi obywatelami w Ludwigsburgu. Założono to towarzystwo w styczniu 1832 r. Tak więc pobyt Zaliwskiego w Stuttgardzie był obrócony na pewnego rodzaju propagandę. Dnia 19 listopada stanął Z. na granicy francuskiej w Strassburgu, gdzie znowu musiał odbyć 20-dniową kwarantannę. Stąd pisał do księcia Lubomirskiego, polecając mu usilnie opiekę nad swoją żoną, którą wraz z dwojgiem dzieci zostawił u leśniczego Lipki pod Garwolinem w województwie podlaskiem. Miała ona wkrótce za nim podążyć przez Kraków do Paryża [1]).

Nie tak szybko jednak stanął Zaliwski na paryskim bruku. czyniono mu trudności w tym względzie; dlatego skarży się Lelewel dnia 3 stycznia 1832 r. w liście do deputowanego Victora de Tracy, że Józef Zaliwski, jeden z bohaterów naszej rewolucyi doznaje wszelkich trudności w dostaniu się do Paryża i że zatrzymano go z tego powodu w Chalon sur Marne [2]). List musiał odnieść pożądany skutek, ponieważ Zaliwski niedługo potem, bo 6 stycznia [3]) stanął w Paryżu. Tu odrazu stał się igraszką intryg. Zaliwski został przyjęty, jako jeden z twórców powstania listopadowego, przez, pierwsze kroki jeszcze stawiający komitet narodowy polski pod prezydencyą Lelewela. Emigracya bowiem mimo, że zaledwie kilka miesięcy swojego żywota liczyła, przeżyła już była małą rewolucyę w swojem łonie, a sztandar waśni partyjnych już

[1]) Arch. kraj. Sprawa Ossol., fasc. II., z papierów H. Lubomirskiego. List Zaliwskiego do H. Lubomirskiego z Strassburga 20 listopada 1831. — Żona Zaliwskiego Franciszka ze Szpehów bawiła następnie 6—7 tygodni u Brandysa, dopóki H. Lubomirski nie wystarał się dla niej o paszport do Francyi. (Według zeznań Zaliwskiego).

[2]) Rkp. rapp. Roczniki polskie. Zbiór Chodźki, t. 55 (styczeń—luty): Lettre de J. Lelewel au deputé Victor de Tracy en faveur du colonel Joseph Zaliwski.

[3]) Zeznania Zaliwskiego.

się był szeroko rozwinął. Runął był pierwszy komitet tymczasowy t. zw. partyi kaliskiej Niemojowskiego, dzięki zabiegom Maurycego Mochnackiego a zawiązał się inny pod prezydencyą Lelewela, w którym grupował się żywioł demokratyczny emigracyi. nie skrajny wprawdzie, bo ten dopiero z niezadowolonych tego komitetu później nieco utworzył osobny komitet, w każdym razie jednak wprost odmiennych przekonań i z zasady przeciwny zabiegom dyplomatycznym księcia Adama Czartoryskiego i jego adherentów, t. zw. arystokracyi. Przewodziła działaniom Lelewela jedna myśl, oto, żeby niedopuścić do rozproszenia się emigracyi. żeby zogniskowana we Francyi, a przedewszystkiem w Paryżu nie marnowała swoich sił na służbie rządu francuskiego przez tworzenie legionów, któreby słano w gorące kraje Afryki, do Algieru, na ciężką bezowocną służbę [1]). Żywo stał przed oczyma fakt wysłania na zagubę legii polskich na St. Domingo; upadła aureola napoleońskich czynów i nie chciano już powtórnego wydania tego rapsodu z epilogiem przelanej daremnie drogiej krwi.

Utworzenie legionu polskiego z wychodźców, których lwią część stanowili wojskowi. już na Podgórzu zajmowało umysły — myślano o Skrzyneckim; ten jednak generał, z powodu ostatnich wypadków. nieposiadał już teraz ani popularności ani miłości u ogółu, żeby się módz pojawić znowu na scenie w roli twórcy legionów; osoba o bardziej nieposzlakowanej sławie mogłaby może była objąć puściznę myśli po Henryku Dąbrowskim. Na razie pomysł ten wraz z wychodźcami przeniósł się na teren francuski i pierwszy, który go podjął był generał Bem. Późniejszy jednak bohater 48 roku nie zjednał był dla idei stworzenia legionu aprobaty ogółu. Na horyzoncie bowiem europejskim nie zjawił się żaden wypadek, żadna wojna, któraby blizkością swej sprawy lub pośrednim jakimś wpływem na sprawę polską mogła zachęcić do brania w niej udziału. Wrzała w bliskiem sąsiedztwie Francyi bratobójcza walka o tron portugalskiego królestwa, między Don

---

[1]) Pamiętnik Emigracyi (Ziemowit) zesz. I. O charakterze polskiej emigracyi przez Maurycego Mochnackiego — „Z natury rewolucyi 29 listopada jesteśmy tylko obojętnymi widzami tego wszystkiego, co się wokoło nas dzieje. Skutkiem nieprzewidzianych, może bliskich zdarzeń odzyska zapewne Polska swoją udzielność i całość. Rycerze Grochowa i Ostrołęki nie wezmą na cudzym żołdzie żelaza nie z ich ziemi dobytego. Dzieje płodne w coraz nowe pomysły nie wznowią przykładu Polaka walczącego za kraj własny na wyspach Oceanu albo w obliczu Sezostrysowych pomników“.

Pedrą w imieniu Donny Maryi z jednej strony a Don Miguelem z drugiej strony; starano się wprawdzie tej walce nadać, choć szło jedynie o tron, treść bardziej społeczną, bardziej zbliżoną do nastroju ówczesnych umysłów ludów europejskich, zrobiono z tego walkę liberalizmu (konstytucyonalizmu) z despotyzmem. Uderzając w ten górny ton, stronnicy Don Pedra nie wątpili, że przybyli polscy bojownicy wolności tłumnie zapełnią szeregi wojsk portugalskich. Zanim jednak wystąpili z projektem wobec generała Bema, potrafił on całą niemal opinię emigracyi zwrócić przeciw sobie. Szło o nieuznanie przez niego komitetu Lelewela, i o ciężką obrazę, którą rzucił pod adresem tego komitetu [1]). Przypisywano Kaliszanom intrygowanie w tej sprawie, mieli oni jakoby i na Zaliwskiego wpływać w tym kierunku, nim się ten rozeznał w stosunkach emigracyjnych, „gdy ten jednak pozostawał nieugięty — jak pisze Konstanty Zaleski do Lelewela — kierują przez generała artyleryi“. Generał Bem został z powodu obelżywego listu na kilkadziesiąt pojedynków wyzwany i musiał sprawę ugodowo załatwić, a następnie wynieść się z Paryża. Na ową awanturę z Bemem właśnie był natrafił Zaliwski. W łonie emigracyi postanowiono uczcić jego przybycie przez wręczenie mu na uroczystym bankiecie szabli, którą dał Polakom Cavaignac celem uczczenia nią najbardziej zasłużonego w rewolucyi wojownika. Zaliwskiego więc uznano za najbardziej godnego tego odznaczenia; wybór ten był jednak zdaje się tylko wypływem chwilowego nastroju. opinia bowiem, a raczej większość emigracyi w innych okolicznościach nigdyby zapewne nie uznała Zaliwskiego „najgodniejszym“ — był to pomysł tych, którzy uczczeniem pułkownika chcieli dotknąć generała.

„Nie dlatego chcieliśmy to uczynić — pisze Kamil Mochnacki [2]) — aby Zaliwski był wart takiego zaszczytu, lecz aby pokazać Bemowi i innym generałom tu przytomnym, również Niemojewskiemu i innym, że umiemy uczcić zasługi, i że choć Zaliwski nie wielkie ma zdolności, położył jednak dla kraju zasługi większe jak oni“. Możliwe jednak także, że choć odłam emigracyi to uczczenie Zaliwskiego tak pojmował, to Lelewel i jego najbliżsi czynili to z innych pobudek, Lelewel już poinformowany o planie

[1]) List Mochnackiego Kamila. Rkp. rapp. Zbiór Chodźki (roczniki polskie) t. 55. List Konst. Zaleskiego do Lelewela, Strassburg 17 stycznia 1832: „Zasmuciła mnie nie zadziwiła awantura Bema“.

2) List Mochnackiego.

Zaliwskiego, chciał przez to wyniesienie odrazu opinię dla niego usposobić tak, aby go już od pierwszej chwili przybycia na emigracyę uważała za bardzo wybitną jednostkę. Staje się to przypuszczenie tem bardzej wiarygodne skoro uwzględnimy wysokie pojęcie o zdolnościach Zaliwskiego żywione przez klub w ostatnich tygodniach rewolucyi. „W ciągu obiadu — pisze dalej Mochnacki — zamiast skromnego przemówienia przy ofiarowania pałasza, Lelewel wystąpił z oracyą długą jak kazanie, w której wystawiał Zaliwskiego większym i sławniejszym, niżeli którykolwiek z bohaterów wieków starych, średnich i nowych. Zrobił go największym wojownikiem, największym politykiem, prawdziwym i jedynym reprezentantem rewolucyi i rękojmią przyszłego bytu Polski. Rozumieliśmy, że żartuje sobie z Zaliwskiego. Sam Zaliwski słuchał za stołem z największem podziwieniem i sam nie wiedział nawet, że go mają za tak sławnego człowieka“. A może jednak w istocie snuty przez Zaliwskiego, plan w najbliższej przyszłości mający się zrealizować, tak dalece zdołał rozanimować Lelewela, tak bardzo zgadzał się z podziemną pracą rewolucyonistów europejskich, jako zrealizowanie ich dalekich planów, na szerszą zakreślonych metę, a omawianych i za cel stawianych wszystkim tajnym związkom rewolucyjnym.

Pierwsi wychodźcy polscy, przybyli na ziemię francuską nie uczuli się tu obcymi, przyjął ich nie tylko sam narod z entuzyazmem, a zupełnie odruchowo, jak to wszystkie narody, przez które przechodzić wypadało polskim rozbitkom, ale zastał on już w Paryżu komitet specyalnie trudniący się ich przyjęciem. Był to komitet francuski, „en faveur des Polonais“, pod prezydencyą generała Lafayetta założony jeszcze 28 stycznia 1831 r, Posiadał on w swem gronie [1]) jednego Polaka, człowieka wybitnych zdolności Leonarda Chodźkę, który wnet stał się pośrednikiem między wychodźcami a tym komitetem centralnym. Był ten komitet zbiorowym wyrazem uczuć, których się spodziewano od narodu francuskiego, ale był on „organem tylko ludu przyjaznego“ [2]) nie rządu. Po upadku powstania, zadanie tego komitetu stało się jasne, trzeba się było przygotować na przyjęcie polskich wychodźców.

---

[1]) Skład Komitetu: Prez. Lafayette, Wiceprez. Juliusz Lasteyrie i Euzeb. Salvert, Sekr. Dutrone i Edward Hayer, Kasyer notaryusz Fevrier, Agent generalny Eugeniusz Cassin. — Noworocznik demokratyczny 1843 r., str. 80.

[2]) Zdanie sprawy kom. nar. polsk., I., str. 10.

Polscy wychodźcy jednak zaledwie w liczbie 26 stanęli w Paryżu odrazu postanowili utworzyć komitet tymczasowy emigracyjny. Jednym z pierwszych. był ostatni prezes rządu narodowego Bonawentura Niemojowski [1]). Nie mógł jednak Niemojowski, znienawidzony „Kaliszanin" zasłużyć na zaufanie rosnącej z dniem każdym emigracyi, stał on bowiem na zupełnie innym punkcie pojmowania sprawy Polski i całej emigracyi. Według niego n. p. nie należało obchodzić rocznicy 29 listopada, polityka bowiem powinna była być daleko od emigracyi, szukającej na obcej ziemi przytułku. Jakkolwiek takie pojmowanie rzeczy mogło być na ogół słuszne, to jednak w chwili obecnej było zupełnie niezgodne z większością opinii, którą, jak już powiedziano, nie czuła się pobitą a manifestacye narodowe uważała za jedyny środek zwrócenia na się uwagi ludów w Europie. Należało przecież zaznaczyć i to słusznie, że upadek powstania nie jest zarazem rezygnacyą z należnych praw, że to, co teraz nastąpi, nie będzie erą skruchy i poddania się najeźdźcom. I w tem pojmowaniu zdaje się jedynie leżeć istotna przyczyna szybkiego upadku pierwszego komitetu polskiego w Paryżu; nie szedł w zgodzie z ogólnym duchem, nietylko emigracyi, ale i dającego gościnę ludu, kiedy na wezwanie Lafayetta, urządzenia uroczystości listopadowej, odpowiedział z zimną rozwagą, bo odmownie. Na zewnątrz jednak upadek ten spowodowała „intryga", chęć wybicia się ambitnych jednostek (M. Mochnacki, A. Gurowski).

Dnia 8 grudnia rozwiązał się więc komitet tymczasowy Niemojowskiego, a 15 tegoż miesiąca ukonstytuował się komitet narodowy stały, którego prezesem został Joachim Lelewel [2]). Komi-

---

[1]) Skład Komit. tymczasowego: Prezes: Bonawentura Niemojowski. członkowie: Joachim Lelewel, Teodor Morawski, Franciszek Wołowski, Kantorbery Tymowski.

[2]) Zdanie sprawy, I., str. 32. Członkami byli: Walenty Zwierkowski, deputowany warszawski, major gwardyi narodowej konnej i krakusów, sekretarz sejmu: Leonard Chodźko, grenadyer gwardyi narodowej polskiej, kapitan-adjutant generała Lafayetta; Roman Sołtyk, poseł powiatu koneckiego, generał brygady w artyleryi polskiej; Tadeusz Krępowicki, porucznik artyleryi konnej polskiej; Antoni Przeciszewski, podpułkownik jazdy poznańskiej pułku ułanów, poseł powiatu rosieńskiego; Karol Kraitzir, sztabs-lekarz przy wojsku narodowem polskiem; Antoni Hłuszniewicz, poseł powiatu borysowskiego; Adam Gurowski, ochotnik wojska narodowego polskiego; Sekretarz komitetu Waleryan Pietkiewicz, poseł powiatu słuckiego, ochotnik wojska polskiego, Podskarbi komitetu Karol Edward Wodziński, ochotnik 1-go pułku krakusów.

tet poszedł z natury rzeczy drogą manifestacyi; na zewnątrz polegała jego praca na dawaniu pomocy tułaczom, którym udzielano funduszów na drogę do Francyi. Po drodze ze Wschodu do Francyi, w Niemczech, którędy przechodzić musiała polska pielgrzymka, powstawały w większych miastach polskie komitety, zakładane przez Niemców, celem popierania przechodzących Polaków. W miastach tych utrzymywał komitet swoich agentów, w porozumieniu zaś z nimi udzielały przechodzącym wsparć cudzoziemskie komitety. Na granicy Belgii w Valencienne był takim wysłannikiem Ludwik Tarszeński, w Metz Michał Podczaszyński, a następnie Walenty Zwierkowski; w Strassburgu Konstanty Zaleski, gdy zaś ten na żądanie policyi ze Strassburga zmuszony był wyjechać, na miejsce jego przybył Wincenty Cyprysiński; gdy i Cyprysińskiego ten sam los spotkał, zajęli się pośrednictwem mieszkający w Strassburgu Polacy: Starowolski, Edmund Korabiewicz i Alexander Korejwa [1]). Komitety takie były liczne [2]), w Niemczech n. p. w Augsburgu, Calmbach, Calo, Darmstadt, Eisenach, Eslingen, Dreznie, Fortzheim, Freiburg (w Bryzgowii) Frankfurcie n/M., Fürth, Göppingen, Hanau, Hannower, Heidelberg, Kaiserslauten, Karlsruhe [3]), Laar, Landau, Lipsk [4]), Manheim, 2 komitety (jeden damski) w Moguncyi, Monachium, Neubürger, Norymberga, Plauen, Rastadt, Ratyzbona, Spira, Studtgard, Tübingen, Tückheim, Ulm, Wildbad, Würtzburg, Zweibrücken; prócz tego istniały komitety w Bruxeli, w Strassburgu [5]), w Valencienne, w Lyonie (Société du Bazar Po-

---

[1]) Zdanie sprawy, str. 121. — Takim wysłannikiem do Niemiec był Franciszek Chyszewski.

[2]) Zdanie sprawy, I., str. 11.; Noworocznik demokratyczny 1843.

[3]) Komitet w Karlsruhe istniał od 17 grudnia 1831 r. do 16, sierpnia 1832 r. członkami byli: Fahnenberg, Wieland, Hoffman, Klose, Griesbach, Klump i Posselt. — (Nowor. demokr. 1843).

[4]) Komitet lipski zawiązany po upadku powstania, już 31 maja 1832 się rozwiązał; w skład jego wchodzili: Wilhelm Bergman, Bodenhausen, kapitan Brochowski, Fryderyk Brockhaus, radca D. Kind, radca D. Seeburg, D. Schellwitz, D. Stieglitz, Dyrektor Streubel i profesor D. Wendler (Now. dem.).

[5]) Komitet strassburski zawiązany 30 listopada 1831 pod prezydencyą Lichtenberga składał się z następujących członków: Fryderyk Turkheim, Piotr Champy, Voltz, L. Scherz, Rauter, Gutt, Silberman; kasyerem był Ludwik Kob, sekretarzem V. Schungano. (Nowor. demokr.).

Polonais[1]) w Metz (2 komitety), w Vitry le Français, w Besançon, Avignon; w Szwajcaryi w Genewie, Szafuzie, Lozannie. St. Gall i inne; w Chrystyanii, w Anglii, Ameryce i t. d.

Działalność komitetu Lelewela, chociaż na pozór ograniczająca się jedynie na manifestowaniu swoich uczuć i poglądów, miała jednak przedewszystkiem jeden cel jasno wytknięty i ten był na razie najbliższem jego zadaniem. Było to skupienie, rozproszonych rozbitków armii i skompromitowanych w rewolucyi obywateli na ziemi francuskiej; skierowywanie ich w tę stronę było jedną z najgłówniejszych misyi agentów komitetu. We Francyi, nie rozproszeni po całej Europie, mieli wychodźcy polscy oczekiwać wypadków, z którychby można i należało korzystać. „Może już zbliża się ta chwila — pisze Lelewel — może już jest niedaleka, kiedy ludy dobijając się o wolność swoją, pomogą nam wydartą odzyskać niepodległość. i pośród siebie należne naznaczą nam miejsce. Bo nie inny koniec, nie inna cierpień naszych oczekuje nas nagroda. Ta niezbędna nadzieja wszystkich nas ożywia — tę wam przesyłamy“[2]).

W słowach tych mieści się drugi najważniejszy punkt programu komitetu Lelewela: oczy tego kierownika polskiej demokracyi zwrócone były bacznie na wszystko, co się działo wśród ludów Europy. Widział doskonale, zbliżającą się „chwilę“ i osądził, że nikt w niej tak czynnej nie powinien odegrać roli jak właśnie Polska — raczej emigracya polska demokratyczna. — Już od pierwszej chwili wstąpienia na ziemię francuską tych łatwo zapalnych żywiołów. z jakich się w większości składało wychodźtwo, rząd francuski przygotował cały arsenał trudności, jużto ze względu na własną spokojność wewnątrz, jak też dla wykazania lojalności na zewnątrz. I inne jeszcze niebezpieczeństwo zdawało się poważnie grozić zamysłom Lelewela, oto powracająca myśl utworzenia legionu. myśl niwecząca zogniskowanie emigracyi, wyszła ze strony partyi przeciwnej i wrogiej mu, mianowicie partyi Czartoryskiego. t. zw. arystokratycznej. Należało przeto zająć Lelewelowi obronną pozycyę wobec tych. z dwóch stron piętrzących

[1]) Założony w czerwcu 1831 r. Prezydent pułkownik dowódca gwardyi narodowej lyońskiej Acher. Wiceprezydenci: doktor Trolliet, członek akademii; Bredin, dyrektor szkoły weterynarskiej i Janson; sekretarze: Grandperret, podpułkownik gwardyi narodowej, członek akademii; Doktor Dessaix, podskarbi; August Bontoux, bankier, członkowie komisyi: Victor Armand, Antoni Ribaud, A. Champagneux. Gensoul, Tomasz Tissot, Chevrolat, Godemard, Bruyn. Sylvan Blot, August Perret.

[2]) Zdanie sprawy, str. 3.

się trudności; objawiło się to bądź to agitacyą gołosłowną na zewnątrz, bo rzucaniem odezw, stylistycznie porywających, bądź wreszcie pracą tajną, konspiracyjną w łonie międzynarodowych towarzystw węglarskich. Ta sieć poplątana tajnych stowarzyszeń, które teraz powstaną w Europie, właśnie w czasach po rewolucyi lipcowej, jest może najmniej znana i zbadana: znany jest jedynie ich cel: ogólna rewolucya ludów przeciw rządom. Nie da się tu niezauważyć, że zarzuty przez partyę demokratyczną pod adresem arystokratycznej skierowane, jakoby ta ostatnia całą nadzieję swoją oparła na kruchej moralności gabinetów i dworów; na zwodniczych tylko obiecankach, dają się w zupełności zastosować do partyi demokratycznej właśnie, która nadzieje swe oparła na bądź co bądź nie wypróbowanej jeszcze wierności sprzymierzonych ludów na obiecance ogólnego wybuchu, z którego to ognia i Polska mogła dla siebie odnieść korzyści. Wszak wkrótce zobaczymy, że wierność gabinetów nie okazała się bardziej zwodniczą od przyrzeczeń ludów; mniejsza o przyczyny, skutek był równie opłakany.

W tym okresie właśnie, tuż po rewolucyi lipcowej, udało się związkowi rewolucyjnemu, używającemu reguły węglarskiej, zjednoczyć i zogniskować wszelkie wolnościowe dążenia i przygotowywania do ruchów. Nie tu miejsce rozwodzić się wogóle nad początkiem towarzystw tajnych t. zw. karbonarskich. Według jednych [1]) początkiem ich istnienia we Francyi jest r. 1820; kiedy Joubert i Dugied schronili się do Włoch z powodu należenia i brania udziału w ruchach r. 1820 zostali oni tam przyjęci do związku węglarskiego a po powrocie do Francyi założyli tu wentę karbonarską pod nazwą „Philadelfes“. Inne [2]) znowu źródła utrzymują, że już w r. 1818 zakładane były tajne związki, np. Union, założona przez Józefa Reya, adwokata z Grenoble, który to związek wchodził nawet w stosunki ze związkami tajnymi niemieckimi i włoskimi, gdzie wielką odgrywał rolę Buonarotti. W tym samym roku we wrześniu powstał w Paryżu drugi związek założony przez młodzież studyującą, była to loża „Amis de vérité“ na której czele stał Bazard. Loża ta wyszła ze związku massońskiego i stała pod opieką Wielkiego Wschodu, ukrywana ściśle przed okiem policyi. Rozruchy w r. 1820 zjednoczyły młodzież kształcącą się z Amis de Verité z wojskowemi sferami bonapartystów,

[1]) Häecketborn — Katzcher: Geheimbünde u. Geheimlehren (Carbonari, str. 307).

[2]) Georges Weil: Histoire du parti republicain.

a na czele związku stał wówczas nominalnie Lafayette. Stowarzyszenie to ukartowało rozruchy r. 1820; proces, który był ich następstwem wykazał istnienie trzech komitetow: 1) bonapartystów, 2) republikanów, na których czele stał Lafayette i 3) komitetu Grenoble. Związek ten nie istniał już potem długo; młodzież studyująca uległa wojskowym, republikanie — bonapartystom, wkrótce zaś potem expedycya hiszpańska pojednała na nowo wojsko z „białą chorągwią". Następnie powstałe związki miały jedynie za cel udzielanie pomocy prześladowanym działaczom politycznym. Tak założyli Cavaignac, Thomas, Carnot i Bastide związek „Aide toi, le ciel t'aidera"; ale i w jego łonie wkrótce nastąpił rozłam na partyę skrajną i umiarkowaną. W latach 1825—30 młodziez studyująca wciągnęła do związków i klasę robotniczą; dziełem ich były właśnie nieudałe rozruchy w Paryżu podczas koronacyi Karola X. (1827). Reakcya, którą te rozruchy wywołały spowodowała republikanów do lepszego organizowania się, Auguste Fabre wszedł wówczas w stosunki z Lafayettem. Stowarzyszenie na sposób węglarski podzielono na wenty: najbardziej czynną była wenta, na której czele stał Cavaignac, i ten to związek zorganizował i wykonał rewolucyę lipcową. Po dokonanej rewolucyi doszedł do wielkiego znaczenia związek republikanów skrajnych „Amis du peuple" założony 30. lipca 1830 r. W okresie tym po rewolucyi lipcowej spotykamy nazwiska republikanów starych jak Lafayette, Voyer d'Argenson, Charles Teste i Buonarotti rewolucyonista włoski, bawiący w Paryżu od r. 1830. Z młodych najczynniejsi są: Godefroy Cavaignac, Ulises Trelat, Raspail, Armand Carrel wreszcie deputowany Garnier-Pagés. Imiona tych republikanów spotykamy ponadto wśród członków komitetu „en faveur des Polonais". Właśnie po rewolucyi lipcowej związek ten przyjaciół ludu, na sposób węglarski urządzony, rozpoczął działalność nie tylko we Francyi ale starał się rozprzestrzeniać i na zewnątrz np. w Niemczech; republikanie zaś niemieccy, dla łatwiejszego utrzymywania kontaktu z centralnym związkiem, założyli specyalny komitet niemiecki w Paryżu; kontakt z Włochami utrzymywano przez Buonarotti'ego. Dziełem tego związku były próby rewolucyi w dzień pogrzebu generała Lamarqu'a (5—6 czerwca 1832).

Dr. Hermina Naglerowa.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Legendowe postacie zakopiańskie.

I.

Chałubiński jako „król tatrzański".

(1873—1889).

(Ciąg dalszy.)

III.

We dwa lata później, dnia 31 lipca 1879 r., odbył tenże Rajchman w towarzystwie Chałubińskiego i jego syna jeszcze piękniejszą sześciodniową wycieczkę na Łomnicę, którą to wycieczkę, wobec powodzenia jego wyprawy do Morskiego Oka w Ateneum, opisał następnie w dodatku do Wędrowca. Powstała w ten sposób książeczka o 120 stronicach p. t. Wycieczka na Łomnicę, odbyta pod wodzą prof. dr. T. Chałubińskiego. Opis ten jest równie barwny, jak poprzedni, tylko, że szczegółów, specyalnie charakterystycznych dla Chałubińskiego, zawiera znacznie mniej.

Wyruszono z Zakopanego dwoma wózkami: na jednym jechał Chałubiński z synem, z Rajchmanem i Sabałą, jako „honorowym członkiem wyprawy", na drugim usadowiło się dziewięciu górali pod wodzą Szymona Tatara. Jechano przez Bukowinę aż do Jaworzyny Spiskiej, skąd, wyprawiwszy wozy z powrotem do Zakopanego, puszczono się ku Dolinie Jaworzyńskiej pod Lodowym. Na nocleg zdążono do Czarnego Stawu pod Lodowym, gdzie rozbito obóz.

Ponieważ dalsza droga była przez okolice nieznane, więc nazajutrz wyruszono zaraz po wschodzie słońca. Przy sposobności, choć to nie leżało w programie, zwiedzono i szczyt Kołowy.

Profesor nakreślił sobie na karcie kierunek wycieczki, przechodzący tylko przez przełęcze i doliny. Ale przecież niepodobna omijać szczytów, i to szczytów nieznanych, gdy się jest od nich zaledwie o kilkaset stóp! Zboczyliśmy więc na Kołowy i wcale tego nie żałujemy. Widok, który się przed nami rozpostarł, zupełnie wynagrodził niewielki trud zboczenia.

Na tym potrzaskanym cyplu skały byliśmy na granicy życia i śmierci. Od południa i zachodu otaczało nas morze skał, z pośród którego wychylały się ogromne wieżyska Łomnicy, Lodowego, Ganku, Wysokiej, Mięguszowieckiej, Krywania, których jednostajną, burą, szarą lub ciemną barwę przerywały tylko martwe, jak one, stoczyste pola śnieżne. Od północy-zachodu i północy było już przejście do krainy życia. Tam tylko małą przestrzeń zajmowały szczyty Hawrań i Murań, a wzrok nie napotykał już bliskiej tamy i dosięgał w dali wielkiego morza zieleni. Na wschodzie wreszcie życie kwitło w całej pełni. Wyżyna szybko się zniżała i ginęła w dolinie obrzeżonej i usianej lasami. Tam się wiły błyszczące wstęgi rzek i matowe, szare pasy gościńców, tam stały grupy chat, tam kilkadziesiąt wiosek i miasteczek z wieżami kościołów i białemi ich ścianami nęciło ku sobie zmęczony martwotą wzrok wędrowców. Nigdy nie miałem sposobności objąć jednym rzutem oka tak wielkiego obszaru kraju zamieszkanego; nie wiedziałem nawet, że można widzieć z jednego punktu czterdzieści miasteczek jak na dłoni, to też doznałem silnego wrażenia, a kontrast wiekowej tragedyi pustkowia, jaki za najmniejszem zboczeniem linii widzenia napotykałem, bynajmniej go nie pomniejszał.

Napoiwszy się sielankowym powiewem, płynącym od pól i siedlisk ludzkich, zacząłem się oglądać po bliższem otoczeniu. Spojrzałem ku północo-zachodowi na staw Kołowy, przewlokłem oko po ostrej pile Baranich Rogów, nęcących swą niedostępnością, i przeniosłem je wreszcie na szczyt Łomnicy, o którym najwięcej słyszałem i który już w dzieciństwie był przedmiotem moich marzeń, mych ambicyj. Spostrzegłem, że trudności, o których mi mówiono, nie są zmyślone. Widziałem jak najwyraźniej, że boki szczytu były

bardzo strome, prawie pionowe. Jednakże rzekłem sobie: „Tam będę!“

— Ludzie! — zawołał ktoś koło mnie.

— Gdzie ludzie?

— Na Łomnicy.

Okiem nic dojrzeć nie mogłem żywego. Widziałem tylko t. z. patryę, piramidę — desek, wystawioną na szczycie przez inżynierów, dokonywujących pomiarów. Lecz za pomocą lornetki dojrzałem coś poruszającego się po szczycie i idącego ku patryi. To coś wydawało mi się tak wielkiem, jak mały palec u małej rączki damskiej. Dalej pod patryą jeszcze dwa czy trzy podobne atomy zaczerniały.

Ludzie ci spostrzegli nas wcześniej i dali znak wystrzałem, któryśmy zaledwie usłyszeli. Odpowiedzieliśmy im również z pistoletu. Wkrótce znikli. Na Łomnicy znowu zapanowała pustka, a w sercach naszych zaległ smutek, tęsknota po ludziach, których nie znaliśmy, nawet nie widzieli... Łomnicę ogarnęła pustka. Wydała mi się znowu majestatycznie dumną, groźną, choć na chwilę straciła w moich oczach ten charakter, gdy owe ludzkie robaki stąpały po jej głowie. Wydawała mi się wtedy utworem spółczesnym, a teraz znowu przygniatała wyobraźnię moją jako pomnik zaklętych w skały czasów ubiegłych.

Po półgodzinnym pobycie na Kołowym zaczęliśmy schodzić na przełęcz.

Ponieważ pogoda była, zgodnie z przepowiednią, zupełnie „legalną“ i słońce tak silnie grzało, iż niepodobna było utrzymać pod gołem niebem, umieściliśmy się w kotlinowatem wgłębieniu skały, na bardzo spadzistym stoku. Trawa i mech nęciły do drzemki, ale spadające z góry kamienie i stromość naszego legowiska odradzały powierzyć się Morfeuszowi. Wypaliwszy kilka papierosów, zabieraliśmy się do odejścia.

— Pójdę jeszcze na Baranie Rogi z Tatarem i Rojem, a panowie tu poczekacie — rzekł profesor.

Struchlałem naprawdę. Było to przedsięwzięcie więcej niż szalone, gdyż z tej strony skała była zupełnie gładką, urwistą i zwieszoną nad straszną przepaścią, nie mówiąc już o tem, sam przystęp do niej był trudny.

— Pan profesor żartuje chyba — rzekłem. — Którędy?

— Już tam z Kołowego wypatrzyłem jakieś skrawki. Prawda, Wojtku, że można!

Roj kiwnął głową potakująco; zawsze taką odpowiedź daje na twierdzące zdanie profesora. ale zdaje mi się, iż sądził, że nie można. Mogę trochę i swojemu znawstwu zaufać, a widziałem, że wejście jest albo wcale niemożliwem, albo też wielce niebezpiecznem w najbardziej alpinistowskiem znaczeniu tego wyrazu.

Wiedząc, że niebezpieczeństwo nie będzie argumentem przeciwko zamiarowi profesora, chciałem wynaleźć inną przeszkodę. Dopomógł mi Tatar, który przedstawił, że to zboczenie zajmie kilka godzin i z tego powodu ciemność może nas zaskoczyć nad przepaściami, w okolicy nikomu nie znanej. Nie będzie więc można ani rozbić namiotu, ani ugotować herbaty; bo może do wyższej granicy kosodrzewiny nie zdołamy dotrzeć.

Bezwątpienia podyktowała te słowa Tatarowi troskliwość o naszą całość i wygodę; ważnym jednak motywem jego wystąpienia była wschodnia maksyma: „lepiej stać niźli chodzić, lepiej siedzieć niźli stać, lepiej leżeć niźli siedzieć“, której Tatar, będący zresztą dzielnym góralem, hołduje całą siłą przekonania, usposobienia i przyzwyczajenia.

Profesor zna dobrze tę słabą jego stronę; pomimo to zastanowił się. Rzeczywiście mieliśmy schodzić doliną z kilku tarasów złożoną, których stoków nikt nie znał. Żleb zaś, którym się dolina zaczynała, wcale nie zapowiadał wygodnej drogi.

Widząc początek wahania się, strzeliłem argumentem bardzo grubego kalibru.

— Zresztą — rzekłem — z Baranich Rogów nie będzie żadnego nowego widoku! Wszakże one nie panują nad otoczeniem. Nie zobaczy pan z nich bezwątpienia tyle, co dadawniej z Lodowego, a dziś z Kołowego.

— Prawda, już o tem myślałem. Tak, tak, macie słuszność: widok nie opłaci straty czasu, a sam honor postawienia stóp na niedostępnym szczycie nie jest żadną dla mnie ponętą.

Roj powiedział krótko: „Prawdę mówią“.

Zwyciężyliśmy. Posunęliśmy się ku dołowi.

Ale droga przez ten „zamek“ okazała się niesłychanie trudną i niebezpieczną.

Było w pół do 2-giej, pogoda wciąż prześliczna. Spostrzegłem, że wyprzedzający mnie o sto może kroków pp. Chałubińscy usiedli na małym garbie skały, porosłym trawą. Ucieszył mnie ten odpoczynek, gdyż ciepło dość nas znużyło. Jednakże był przeciwko zwyczajowi zawczesny; szliśmy dopiero godzinę. Widać dużo mamy czasu, pomyślałem, kiedy już tak prędko odpoczywamy. Zbliżywszy się do towarzyszy, usiadłem na gęstej, wysokiej trawie w jakiejś małej kotlinie i zacząłem się raczyć winem i chlebem. Jadłem pospiesznie, sądząc, że ten niezwykły odpoczynek nie potrwa długo. Tymczasem był jeszcze czas na skręcenie papierosa i na wypalenie go... a nawet potem jeszcze siedzieliśmy. Zdziwiło mnie to niezmiernie, więc rzekłem do dowódcy naszej wyprawy: „Możeby już był czas?...“ — „Naturalnie — odrzekł profesor, — tylko zachodzi maleńka przeszkoda, że nie wiemy, jak się stąd wydostać. Górale poszli szukać drogi.“ — Posunąłem się przed siebie o kilkanaście kroków i zobaczyłem, że taras, na którym siedzimy, łączy się z doliną prawie prostopadłą ścianą. Wspaniały zamek!

Gdybym po raz pierwszy znalazł się w takiej pułapce, to bezwątpienia doznałbym nieprzyjemnego wrażenia. Ale ponieważ już kilka razy wybrnąłem szczęśliwie z podobnych trudności, więc zaufałem swym siłom i zręczności, oraz sprytowi przewodników będąc pewny, że gdzieś przejście wywietrzą. Zachowałem się tedy dość obojętnie.

Niezadługo wraca Wojtek Roj, wysłany na zbadanie prawej strony zamku, i mówi, że „puszcza“, a Szczepan Roj pokazuje z lewej znaki ujemnego rezultatu poszukiwań. Udajemy się za Wojtkiem.

Już na wstępie poczułem przedsmak dalszego stanu rzeczy. Wchodzimy w trawiastą rynnę obok urwiska, tak spadzistą, że musiałem chwycić się trawy rękoma, zawisnąć na niej i szukać nogami oparcia. Ale nogi nic nie napotykają wystającego: bujają w powietrzu. Wykręcam je na bok — niema oparcia. Więc wciągam do góry i wbijam obcasy w trawę: jakoś dobrze siedzą; można puścić się jedną ręką i chwycić się niżej za nowy kosmyk ziół. W ten sposób obsuwam się niżej i już wtedy sięgam nogami trawy. I znowu trzeba się posuwać tak samo!... Poczułem cały ogrom niebezpieczeństwa. — „Dobrze Wojtek prowadzi“ — rzekłem cierpko.

Nagle stok trawiasty urywa się i z prawej strony ukazuje się droga dość dobra... pomiędzy złemi. Żałuję już cierpkiego wykrzyku. Idziemy jakby po galeryjce na stoku Mięguszowieckiej. Wtem, na zakręcie, nowa zmiana dekoracyi. Nadszedłem na taką scenę. Gładki, kopulasty daszek skalisty, podobny do krzywizny przylepki chleba lub odcinka kopuły kościoła ewangelickiego w Warszawie. Nad nim i pod nim ściany pionowe. Roj, z oczyma płonącemi wyrazem przestrachu i energii, z wargami drżącemi, trzyma dłonie rozłożone na daszku. Widać tylko głowę jego i połowę piersi, reszta ciała wisi nad przepaścią, przylepiona do pionowej skały. Profesor, stojąc jedną nogą w połowie na daszku, w połowie na dłoni Roja, chwiejąc się, siada na drugim już brzegu, i przed zanurzeniem się w komin, z którego sterczała twarz Tatara, odwraca się na chwilę i rzuca na mnie wzrok błyskawiczny. W mgnieniu oka zoryentowałem się w stanie rzeczy. Odpowiedziałem profesorowi wzrokiem spokojnym, zimnym, pewnym. Zawołał więc tylko: „Na Boga, trzymajcie Sabałę!“ Profesor znikł w kominie. Wszystko to trwało kilka sekund.

Na mnie kolej. Stawiam krok, czuję, że pomimo dłoni Roja jest niepewny, stawiam drugi z nadzwyczajną szybkością, chwytam się za podaną ciupagę, obślizguję się, chwieję, padam, ale całą siłą nadaję pochyleniu taki kierunek, że się chwytam ręką za brzeg komina. Przejście było podobne do przepłynięcia nadzwyczaj rwącego potoku. Trzeba się rzucić całą siłą i odrazu dosięgnąć brzegu. Jeśliś go dotknął palcami i trawy się uchwycił — jesteś ocalony.

Po za daszkiem komin, naturalnie bez jednej ściany. Chwytam się górnych jego brzegów rękoma i zagłębiam w nim. Stopami szukam skrawków, ale ich niema. Wyprężam się więc jak struna, ale dna dosięgnąć nie mogę. Długość ciała z dodatkiem ręki nie starczy. Szukam znowu stopni, ale czuję tylko gładką ścianę. Pozostaje więc tylko zeskoczyć. Rzecz łatwa, ale patrzę: dno niewielkie, ścięte ukośnie, wykręcone i nierówne. Co po za niem? — nie widać. Wtem na dnie pokazuje się głowa, która woła: „Niech skaczą, śmiało, ja tu stoję.“ Puściłem z rąk brzeg skały i runąłem na dno, gdzie mnie przytrzymał za nogi stojący poniżej góral.

Nie na tem koniec. Nastąpiła pionowa niemal ściana, po której przeprawa byłaby zupełnie niemożliwą, gdyby na

niej nie rosły trawy i krzaczki kosodrzewiny. Posuwamy się na grzbiecie zygzakiem, szukając linij mniej spadzistych. Radzimy sobie pozurami i obcasami. Trawa na szczęście mocno siedzi w skale. Wreszcie pojawia się kosodrzewina; uczuliśmy wrażenie takie, jak żeglarz, gdy zdaleka zobaczy skrawek ziemi, ciemniejący na widnokręgu.

Ale mając ziemię przed oczyma, można się także rozbić o rafy podwodne. Kosodrzewina była w tem miejscu wątła; zupełnie ustępowała pod nogami. Trzeba było koniecznie stawać na jej łodygach, tuż przy osadzeniu w skale, a przytem trzymać się dobrze ręką o krzaki wyżej rosnące. Ale już i taka była dla nas dobrodziejstwem.

Im niżej, tem bardziej kosodrzewina gęstnieje i tem pewniejszem jest zstępowanie. Zsuwamy się po jej elastycznych gałęziach i ślizkich igłach, jak dzieci po wzgórzu trawiastem. Wreszcie gałęzie jej tak zgrubiały, że zaczęliśmy po nich stąpać nogami, jakby po szeregu lin obok siebie rozciągniętych. Po kilkunastu minutach znaleźliśmy się w żlebie, zawalonym obsuwającym się gruzem i spadającymi głazami. Żleb! to dla nas rzecz zwyczajna, prawdziwa przystań w tej chwili. Tu już — po tem wszystkiem — śmiało biegliśmy po stromej linii na dół, jakby po asfalcie.

Wyszedłszy na miejsce płaskie, obejrzałem się. Stało przedemną kilkaset stóp pionowej skały. gdzieniegdzie porosłej trawą i kosodrzewiną. Nie chciałem wierzyć, żebyśmy po niej zejść mogli. A jednak tak było. I pomimo to pełzałem po niej prawie bez obawy, zupełnie zimno. Tylko wtedy, gdy nogi znalazły się w powietrzu i gdym się chwiał, stojąc na dłoniach Roja, doznałem silnej emocyi. Gdybym jednak przebywał tę drogę po obejrzeniu skały z dołu, pewniebym nie był tak spokojny.

Przyszedłszy do Stawku Zielonego, nad którym obóz rozkładano. dowiedziałem się, że profesor, który przecież wzdłuż i wszerz przebiegł Tatry. nigdy nie miał tak niebezpiecznej przeprawy.

— Możesz pan sobie teraz drwić z Łomnic i Gerlachów — rzekł do mnie.

Górale przyznawali się jawnie, że drżeli na całem ciele, gdy się już na miejsce jako tako bezpieczne dostali. Roj powiedział, że widząc, iż jedyna droga prowadzi przez ów daszek, chciał zaproponować... cofnięcie się. Ostateczność nie-

miła, której byśmy się wszyscy wstydzili, gdybyśmy się dowiedzieli, że ktoś przebył te trudności. Wstyd więc. i to, że nie zdążylibyśmy przed nocą na miejsce poprzedniego noclegu (gdyż już odeszliśmy odeń o 10 godzin drogi), wpłynęły na jego śmiałe postanowienie. Biedak, wskutek silnego wzruszenia, dostał gorączki i przypłacił swą gorliwość i wierność chorobą... Tatar, zapytany przezemnie, co sądzi o tym zamku, rzekł: „Co tu prawić! Prawdziwy cud, żeśmy cało wyszli."

Po tym „zamku" już wszystko inne aż na sam szczyt Łomnicy było bagatelą. Wyruszyli o 5-tej z nad Zielonego Stawku w dalszą drogę, w dolinę pod szczytem Kesmarskim. Po cudnym zachodzie słońca, gdy się zaczęło ściemniać, rozbito namiot na najwyższem piętrze doliny, „na małym tarasiku, z jednej strony tylko szczytem osłoniętym", a gdy wiatr, co się zerwał wieczorem, stawał się coraz silniejszym, ci, co mieli spać w namiocie, schronili się pod jego osłonę, górale zaś, zgrupowani wkoło ogniska, też pokładli się do snu.

Jak długo spałem snem twardym, nie mógłbym powiedzieć. Raz tylko w nocy otworzyłem oczy, gdyż padał na mnie blask silny, jakby z pieca, w którym się topi żelazo, z tą tylko różnicą, że był czerwony. Ocknąwszy się, usłyszałem przeraźliwy świst wiatru i trzepotanie płótna namiotu, jakby chorągiewki, mającej się w szmaty rozlecieć. Na wpół senny nie mogłem się zreflektować, co to jest, a przez myśl przesunął mi się, jakby końcowe ogniwo jakiegoś snu, który nie doszedł do świadomości, wiersz Mickiewicza: „Na szczycie jakaś łuna: pożar Carogrodu!" Czyniąc wysilenie, aby sobie wytłumaczyć, skad się tu wziął pożar Carogrodu (gdyż nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie przedtem byłem), zobaczyłem na tle morza ognistego jakąś czarna postać, która się wzięła do spinania brzegów otworu namiotu i do zasłaniania go kosodrzewiną. Poznałem wtedy, gdzie jestem. i... nie bacząc na ogień i wicher, usiłujący zerwać namiot, obróciłem się na drugi bok i znowu zasnąłem. Wytłumaczono mi później, co się w nocy stało.

Gdy odeszliśmy od ogniska do namiotu, ułożyli się górale około ognia promienisto w zwartem kole, i owinąwszy głowy w czuchy, zasnęli snem sprawiedliwych. Roj, który był zajęty przy namiocie i najpóźniej przyszedł do watry,

nie mógł dla siebie znaleźć miejsca. Chcąc więc górali rozsunąć, dołożył tyle kosówki, że powstał ogromny ogień, który parząc śpiących w nogi, zmusił ich do instynktownego odsunięcia się. W ten sposób koło górali powiększyło się i Roj wsunął się pomiędzy dwa jego promienie [1]).

Ponieważ wiatr na chwilę ustał, więc zdawało się Rojowi, że ognisko samo przygaśnie. Tymczasem stało się inaczej. W nocy wiatr jeszcze bardziej się rozszalał, rozdmuchał ognisko do niebywałych rozmiarów, zapalił kosówkę, przygotowaną do dokładania, wydłużył ogień w ogromny język, który piekącem swem liźnięciem postawił na nogi wszystkich górali, a następnie zwrócił się ku namiotowi, grożąc mu pożogą. Wtedy właśnie śniła mi się łuna. Wojtek, dla uchronienia namiotu, stanął przed nim i, rozciągnąwszy ramiona, zasłonił go sobą i czuchą. Drugi przewodnik zmniejszył ognisko. Do świtu już pilnujący spać się nie kładli, gdyż ciągle musieli to spinać otwór namiotu, to poprawiać kołki, przytwierdzające go do ziemi, aby nas wicher nie poniósł.

Wstano o wpół do 5-tej. Wiatr ustał zupełnie, ale niebo było pochmurne. Gdy ruszono dalej, niebawem przytrafiła się mała przygoda, bo prowadzący Tatar zbłądził w kosodrzewinie, ale mimo to około 9-tej wydostano się na grzbiet, z którego ujrzano dolinę pod Łomnicą. Po 12-tej dotarto do przełęczy łomnickiej, a niebawem zatrzymano się na szczycie. Niestety, szczyt otuliły mgły, tak, że tylko raz po raz odsłaniał się jakiś skrawek widoku. Gorzej było w powrotnej drodze, urozmaiconej „lejbą“, t. j. ulewnym deszczem. Na podwieczorek zdążono do t. zw. Chaty Róży pod Szmeksem, gdzie już spotkano się z „przedsmakiem cywilizacyi“, w postaci komfortu i miłych jasnowłosych Niemek, twierdzących, że „Polacy są najmilszymi i najdzielniejszymi ludźmi w świe-

---

[1]) Był to stały sposób Roja, by sobie znaleźć miejsce przy ognisku. Chałubiński, w opisie swej „wycieczki bez programu“, tak pisze o tem: „Gdy noc jest zimna i wietrzna, wtedy Wojtek po skończeniu swej inspekcyi (w namiocie) znajduje koło watry tak ściśnięty łańcuch swych towarzyszy, że i igły nie zmieścisz. Posiada on jednak w takim razie sposób równie prosty, jak skuteczny. Dorzuca na ogień znaczną ilość kosówki, płomień się wzmaga, gorąco bije silnie naokoło, ręka Sabały ściąga się i otwiera coraz częściej; wszyscy świadomo czy nieświadomo cofają się od zbytniego żaru, łańcuch się rozrywa i Wojtek zajmuje w nim należne mu miejsce.“

cie". Nocowano w Szmeksie, gdzie też spędzono cały dzień następny.

Nazajutrz, dnia 4 sierpnia, o 5-tej rano wyruszono w powrotną drogę, a aż do Chaty Róży miano za miłych towarzyszów Asnyka i Pawlikowskich, idących na Łomnicę. Następnie przez Rówienki, gdzie urządzono popas, puszczono się do Doliny Białej Wody, którą zdążono na nocleg do Roztoki. Nazajutrz przez Dolinę Pięciu Stawów, gdzie obejrzano Siklawę, wdarto się na Krzyżne, skąd przez Pańszczycę, stoki Żółtej Turni i halę Gąsienicową wrócono szczęśliwie do Zakopanego.

IV.

W roku 1879 ukazał się w warszawskiej Niwie obszerny opis „wycieczki bez programu", p. t. Sześć dni w Tatrach, skreślony piórem samego Chałubińskiego. Nadzwyczaj to ciekawy i wartościowy szkic, tem ciekawszy, iż w nim Chałubiński opisuje nietylko tę jedną sześciodniową wycieczkę, odbytą ze Stanisławem Kruszyńskim, ale w niej przy tej sposobności retrospektywnie wspomina i swoje niektóre dawniejsze wycieczki, z których opowiada bardziej interesujące momenty lub epizody. „Zmuszony — opowiada Chałubiński —, w drugiej połowie sierpnia opuścić Zakopane, wróciłem tamże dopiero we wrześniu, znękany moralnie i fizycznie, z małą już nadzieją pokrzepienia się na siłach. Wróciłem z deszczem, choć termometr stał najwyżej z całego lata. W parę dni barometr zaczął spadać, a pogoda się polepszyła; niepodobna było odwlekać. Zorganizowałem więc sobie wycieczkę bez programu, byle przeżyć kilka dni w górach." Jakoż, zabrawszy z sobą dziewięciu „walnych" górali, w tej liczbie naturalnie Wojciecha Roja, Szymona Tatara, Wojciecha Ślimaka, Bartka Obrochtę i Sabałę; wyruszono wózkiem Marcina Tadziaka jezdną drogą do Roztoki, gdzie miano się spotkać z góralami, idącymi przez Waksmundzką. W Roztoce nie zastano już nikogo. „Nie witają nas, jak niegdyś, wystrzały uprzejmego górala Franka Doruli z Poronina, który gospodarząc tu dawniej (w roku bieżącym trzymał on w lecie schronisko przy Rybiem), nigdy sobie tej satysfakcyi nie odmawiał[1]). Wokoło schroniska wiatr tylko szumi,

[1]) O tym Doruli tak pisze w r. 1876 Walery Eliasz w swym opisie Wycieczki do Czeskiego w Tatrach: „Już o zmroku przybyliśmy

było z pastwisk już spędzone, a i naszych też górali niema jeszcze. Miarkując po mojej zmęczonej fizyognomii, wnosili może, że dziś zanocujemy w Roztoce i dlatego się nie śpieszą.“ Gdy przyszli wreszcie, zdecywał profesor, wyprawiwszy Tadziaka „z uspakającą depeszą do rodziny“ z powrotem do Zakopanego, ażeby puścić się do Doliny Białej Wody, a stamtąd przez Polski Grzebień zdążyć na noc do nowego schroniska w Felce pod Gierlachem.

Plan był nadzwyczaj śmiały, zważywszy dalekość drogi z Roztoki do Felki, ale *audaces fortuna juvat*. Jakoż wykonano go bez żadnych ważniejszych przeszkód. Ostatni wypoczynek z dłuższym popasem odbyto w schronisku Salamona pod Żelaznemi wrotami, poczem, już o zachodzącem słońcu, zaczęto się wspinać na Polski Grzebień.

> Nie troszczymy się wiele, że wieczór zapada. Droga wprawdzie długa, ale dobrze znajoma, nawet bardzo wygodna; zresztą mamy jakąś szansę oświetlenia księżycowego, choć niebo niezupełnie jeszcze czyste. W najgorszym razie na wypadek ciemności i niepogody będziemy nocować gdziekolwiekbądź, byle jeszcze w krainie kosodrzewiny. Mamy namiot, zapasy, orkiestrę i śpiewaków, a powietrze „wirchów“ już czarodziejski wpływ swój wywiera.
>
> Pomimo, że idziemy wciąż w górę, już pierś swobodniej oddycha; zdaje się, że za każdym krokiem sił przybywa,

---

do schroniska w Roztoce, świeżo zbudowanego przez Towarzystwo Tatrzańskie. Gwarno tu już było i coraz weselej się robiło w miarę przybywania coraz nowych gości na nocleg, tu bowiem nawet tacy ściągali na noc, co mogliby spać w schronisku przy Morskiem Oku, lecz z powodu grubiaństwa tamtejszego gospodarza, górala z Białki, nie chcieli tam pozostać. Przeciwnie, gospodarz schroniska w Roztoce, Franciszek Dorula z Poronina, nęcił do siebie gości uprzejmością i grzecznością: dlatego w księdze, zostawionej tu do zapisywania się podróżnych, czytało się ciągle pochwały dla Doruli, a przestrogi, odstraszające każdego od noclegu przy Morskiem Oku. Ten tu Dorula miał szczególnego posłańca do załatwienia interesów we wsi Poroninie trzy mile stąd odległej. Gdy mu czego zabrakło, pisał o to na karteczce, uwiązywał ją swemu psu do szyi, wyprowadzał go na drogę i strzelał nad nim z pistoletu w powietrze. Pies wtedy, jakby go kto gonił, biegł co żywo do swej siedziby w Poroninie, zatrzymać się nikomu nie dał, a w domu już wiedziano, o co chodzi, gdy się pies pokazał. Po przeczytaniu kartki wysyłano, czego było potrzeba i zabierano napowrót poczciwego gońca do schroniska w Roztoce.

a raczej, że cię skrzydła jakieś na wpół unoszą, bo istotnie nogi nie czują już ciężaru ciała. Skracamy czas muzyką. Mamyż-bo orkiestrę dobraną. To tęskne, dzikie a tak urocze dźwięki staroświeckiej pieśni, którą Sabała (Jan Krzeptowski) z nienaśladowanym przez żadne młodsze siły akcentem wygrywa; to znów rzeźkie, różnorodne, z całego Podhala zebrane pieśni i tańce, które Bartek Obrochta, niewątpliwy talent, biegłym smyczkiem wyrzyna.

Ale oto przeszliśmy już rozległe, coraz bardziej ku południowi zwrócone tarasy. Dolina, jak wszędzie w Tatrach, rozszerza się u góry; piętra coraz stromsze i bliższe jedne drugich. Kozówkę już zostawiliśmy daleko za sobą. Coraz mniej trawy, a coraz więcej nagich głazów; czujemy to nogami, bo dojrzeć już nic nie można; dobrze ciemno, spokój wokoło, muzyka i śpiew przycichły, ale idzie się rzeźko; obecna chwila nie troszczy nas wcale, i to właśnie tłumaczy dotykalny i zbawienny wpływ takich wycieczek na zmęczony lub stroskany umysł. Wielkie słowa przyrody, sama ta nawet uroczysta cisza wśród drzemiących granitowych olbrzymów przemawia do nas, podnosząc serce i krzepiąc do trudów i boleści życia.

Mijamy Zmarzły Staw. Ciemność nie dozwala rozróżnić, czy dużo lodu przetrwało przez lato. Wspinamy się nareszcie ku samej przełęczy. Lekkie tylko mgły okalają sam wierzchołek Gerlachu, a i te przepędzane są silnym, lecz już bardzo wysokim prądem północnego wiatru. Przed nami od południa niebo czyste i jasne. Księżyc dopisał. Jeszcze parę kroków w ciemności po ślizkim, na tatrzańskich przełęczach zwykłym łupku, i otóż jesteśmy na Polskim Grzebieniu. Długi ten grzbiet łączy Gerlach ze Staroleśniańskim Szczytem, leżącym ku północo-wschodowi. Światło księżyca oblewa nas odrazu. Po za dwumilową prawie Doliną Wielką błyszczą osrebrzone blaskiem faliste równiny Spiżu. Obieramy sobie najwygodniejsze miejsca i rozkładamy się swobodnie. Wiadomo, że siadać na wycieczce, jest to szukać zmęczenia i bolu nóg. Górale nigdy nie siadają, chyba przy wieczornem już ognisku przed spaniem. Dobrze nam tu i mamy mocne postanowienie rychło stąd nie ruszać. Pokrzepiamy się resztą ciepłej herbaty, którą Wojciech Roj nieodzownie na wszystkie nawet szczyty przynosi; skrzypki i śpiewy znów zabrzmiały. Czyby się zdziwił Gerlach wesołej i naraz tak gwarliwej drużynie: dość, że

uchylił lekką gazę obłoków, którą czoło swe snać do snu przysłonił i z wyraźnem pobłażaniem dobrotliwie na nas spojrzał. To mu się niekoniecznie często zdarza. Powitaliśmy go głośnym okrzykiem, ba, nawet Jaś Gronikowski „wygarnął“ z jakiejś rusznicy, którą na podobny cel z sobą zabrał. Gerlach połknął sam ten hołd, bo w tem miejscu niema go z kim tak dalece podzielić: niema innych ścian, po którychby się echo rozlegać mogło. Widocznie korzystając z dobrego humoru olbrzyma, młodociany, bo jeszcze przepołowiony księżyc, idąc gdzieś z śmiejących dolin spiskich, zaczął się spinać na jego boki i ramiona. Śmieliśmy się, że w młodocianej swej nieświadomości idzie tą samą drogą, co niegdyś przy pierwszej na Gerlach wyprawie nasi Zakopianie, i że mu się nie uda tędy dosięgnąć szczytu. Tak się stało: po jakiejś godzince musiał zejść, jak oni wówczas do „kotliny“, zostawiając nas więcej, niż w pół cieniu.

Czas było ruszać, bo droga do pierwszego stawu Wielkiej Doliny bardzo spadzista, a i potem jeszcze daleka. Przy wodospadzie dopadliśmy znowu światła księżycowego, a wkrótce około 11-tej w nocy znaleźliśmy się w schronisku.

Przepych, komfort! rozumie się tatrzański. Obszerna, dachem objęta weranda, naokoło dwie izby, okna, klamki i zamki, piece nawet, rzecz dotychczas tylko w tem jednem miejscu w Tatrach praktykowana. Zastaliśmy jeszcze i jakiegoś stróża w schronisku. Był to Spiżak, mówiący, jak się przy rozstaniu okazało, aż trzema językami, ale aż do następnego rana górale nasi mieli go za niemowę. Widocznie przerażony był tak licznem, z gór naniesionem towarzystwem, orkiestrą i butną miną górali. Kto wie, czy nie miał jakiejś wątpliwości co do legalnego stosunku naszego grona z resztą społeczeństwa; czy, mówiąc wyraźniej, nie wziął nas raczej za „zbójników“, niż za turystów.

Rozgospodarowaliśmy się jak najwygodniej. Turyści, tuszy pana Stanisława i mojej, są zdania, iż drzewo, z którego sporządzone są tapczany w schroniskach, jest bardzo twarde. Otylsi mają to wprawdzie za przesąd. Bądź co bądź górale nasi w jednej chwili nanieśli kilka worków drobniutkich gałązek kosówki, które z wielką umiejętnością ułożyli drzewiastym końcem na spód, a kitką do góry, z czego powstaje wcale niezły materac. Szymek jest w tej manipulacyi niezrównany. Czuchy, szale idą na wierzch i robi się posłanie,

na którem jeżeli nie przespać, to przynajmniej wygodnie przeleżeć można do rana, a to już na tych wyżynach w zupełności wystarcza do pokrzepienia sił.

Nie bez zazdrości słuchałem chrapania p. Stanisława, który spał jak zabity. Leżąc jednak wygodnie, nie skarżyłem się na losy; owszem, porównywałem wykwintne zalety tego noclegu z bezsenną nocą, jaką przed kilku laty w tej samej przepędziłem dolinie...

Wstałem o świcie. Muszę nawet pochwalić się, żem się sprawił po cichu, by nie przerwać bez potrzeby snu mego towarzysza, aż zbadanie stanu pogody pozwoli zrobić jakiś projekt na dzień dzisiejszy.

Ponieważ aneroid upoważniał do śmielszej antrepryzy, więc, gdy wreszcie zbudzili się wszyscy, uchwalono pójść ni mniej ni więcej, tylko na Gerlach. Jakoż o wschodzie słońca osiągnięto już drugi brzeg stawu, a niebawem, minąwszy granice kosodrzewiny, dostano się do kotliny, czyli do t. zw. kotła. Wreszcie znaleziono się na szczycie.

Żadna z gór nie robi tak ponurego wrażenia, jak Gerlach. Składa się na to i kształt jego i rozległość i jakby potęgująca się z powodu roślinnych jego szczytów dzikość i martwość. Nawet barwa skał jego smutniejsza jest, niż gdzieindziej; smutniejsza, bo prawie czarna. Wspinając się na niegościnne jego wierzchołki, tak wiele wrażeń, tak wiele przedmiotów zajmuje uwagę, że szczerze wyznać muszę, nie umiem sobie dotąd zdać sprawy, czemu przypisać należy ten żałobny charakter. Wprawdzie niektóre inne góry, n. p. Wysoka, posiadają go także, ale tylko przy pewnem oświetleniu, lecz kształt Wysokiej sprawia, że wrażenie ogólne daleko mniej jest ponurem. Czy sama skała bardziej poczerniałą jest w Gerlachu, niż w innych wirchach; czy w większej ilosci pokrywa ją czerniejący (zwłaszcza ku jesieni) porost, czy cienie rzucane przez liczne jego turnie z jednych na drugie, czy wszystkie te okoliczności razem wzięte, dość, że tak jest w istocie. Tylko spód pojedynczych turni, owe galerye i zakręty pomiędzy niemi, są jakoś dziwnie jaśniejsze, prawie białawe, co w gruncie nie łagodzi ogólnej żałoby, ale ją prawie podnosi. Wielka część szczytów i krawędzi utworzona jest z oddzielnych, częstokroć wysoko wybiegają-

cych, ogromnych słupów granitu, które jakkolwiek są czworograniaste, z daleka robią wrażenie, jakby cała góra składała się z bazaltu.

Posępny charakter Garłuchowskiego Szczytu wpływa mimowoli na wszystkich. Nie widziałem, aby kiedy najweselszy i najżwawszy góral zatańczył sobie na nim, jak się to przecież i na Lodowym i na Łomnicy i szczególniej na Krywaniu praktykowało. Nawet mój „adjunkt“ Józek, szesnastoletnie, żwawe chłopię, któremu nigdy najtrudniejsze i najuciążliwsze kilkudniowe wycieczki nie odbierają chęci wyciąć „góralskiego“, jakoś tu poważnie nastrojony. Sumiennie za to bierze się do odszukania między głazami szklanego stożka, mieszczącego mnóstwo biletów z nazwiskami zwiedzających. Znajdujemy nasze bilety dawniejsze, znajdujemy bilety wielu innych taterników różnych narodowości.

Opisując widok z Gerlachu, zwraca w nim Chałubiński uwagę na jeden szczegół, gdy się patrzy z samego wierzchołka na ostatnie jego turnie, panujące bezpośrednio nad grzbietem Żelaznych Wrót. „Wierzchołki tych turni tworzą cudowne kształty gotyckiej świątyni o kilku wieżach i wieżyczkach. Złudzenie jest tak wielkie, że doprawdy możnaby prawie zdjąć plan tej budowy.“

Powrotną drogę obrano żlebem, schodzącym do Batyżowieckiej Doliny. Droga była zawrotna, nieznana nawet Rojowi i Tatarowi, ale właśnie dlatego przedstawiała się podwójnie interesująco. W dwie godziny jednak, pomimo różnych nieprzewidzianych trudności, szczęśliwie dotarto do Batyżowieckiej Doliny.

Dolina Batyżowiecka w górnej swej części przewyższa dzikością, ale zarazem majestatycznością swoją inne tatrzańskie doliny. Od zachodu zamknięta jest Kończystą, która od tej strony wygląda jak kolosalny portyk gotyckiej świątyni. Niezliczone ostre turnie wybiegają prostopadle ku niebu, a całość ich stanowi piramidę o bardzo szerokiej podstawie. Barwa całej góry jest perłowo-szara z licznemi pod same szczyty sięgającemi blado-zielonemi smugami. Na prawo od Kończystej z po za Żelaznych Wrót wznosi się ciemny, niebotyczny szczyt Wysokiej w postaci także piramidy, ale o bardzo wązkiej podstawie. To przeciwieństwo barw i konturów nadaje dolinie szczególny wygląd i urok.

Urok ten podnosi się do niesłychanego efektu, jeśli w dolinę spoglądamy, pomiędzy 2-gą a 4-tą po południu,

z Gerlachu przez wązkie okno przypadkiem z czworograunych słupów utworzone. Znajduje się ono w zachodniem ramieniu podkowy, ale już w blizkości środkowej masy szczytów. Godzina popołudniowa dlatego jest najpożądańszą, że wtedy słońce, będąc jeszcze bardzo wysoko, jest już po za Kończystą. Niema więc w dolinie promieni prostych, ale za to dostateczna ilość złamanych i odbitych. Daje to tak cudny efekt światłocienia, że owa perłowo-zielona barwa Kończystej zdaje się być w ciągłym ruchu. Jednocześnie Wysoka wygląda zupełnie czarno. Dodawszy do tego kamieniste, zupełnie puste łoże doliny i tylko mały skrawek stawu, który czerwoną barwą świeci na lewo od Kończystej, łatwo sobie przedstawić, że widok ten jest najoryginalniejszym, nietylko w Tatrach, ale i w jakichkolwiek innych górach.

Mniej nadzwyczajny, ale jednak oryginalny i zdumiewający widok czeka cię na prawo ku Gerlachowi. Z żadnego punktu w Tatrach nie wygląda on tak wspaniale.

Minąwszy szczęśliwie, już o zachodzie słońca, drugi i trzeci próg doliny, przyczem po drodze spostrzeżono „poważne stado kóz dzikich, w czarnych sylwetkowych obrazach rzucone na jasny jeszcze horyzont", wstąpiono w krainę kosodrzewiny, co już wróżyło „nocleg w warunkach rozsądnych". W końcu, już o zmroku, rozbito namiot, rozpalono olbrzymie ognisko, wesoło strzelające dokoła, i zaczęto się posilać strawą.

Jest to wielce przyjemna chwila w czasie wycieczki, rozumie się, jeżeli służy pogoda. Nogi, wywiązawszy się przez ciąg jakich 12 lub 15 godzin z położonego w nich zaufania, w skromnem uczuciu zadowolenia z dobrze spełnionego obowiązku, wyszukują sobie najwygodniejszego położenia. Pierś nie potrzebuje już pracować, jak machina parowa, swobodnie wdycha czyste, cudne, tatrzańskie powietrze, ożywione po skwarnym dniu łagodnem tchnieniem wieczoru. Brzuch, zauważywszy nie bez upokorzenia i przykrości, że w ciągu dnia był zaledwie tolerowanym, że niejeden z turystów radby go może idąc na szczyty zostawić wraz z innymi pakunkami u spodu góry, teraz w prawowitem poczuciu pokrzywdzenia, zrazu z dyskrecyą, a wkrótce z natarczywością przypomina, że i jemu przecież coś się należy. Mózg wreszcie, dla którego przyjemności głównie przedsięwzięto wyprawę, rad, że nie potrzebuje już rozciągać ścisłej kontroli nad powierzonymi

jego pieczy członkami, rad, że nogi, ręce, żebra i t. d. w całości mniej więcej doprowadził do noclegu, zaczyna teraz rozbierać doznane wrażenia. Jedne z nich, nieprzyjemne, niedbale rzuca do jakiejś dziurawej szufladki, oczywiście dlatego, by je co najrychlej uronić; drugie, przyjemne, troskliwie do najlepszej chowa skrytki, by ci je na każde zawołanie w pełnym wdzięku i świeżości pokazać. Ileż to razy, wśród ponurych lub ciężkich chwil życia, błyśnie ci obraz tak uroczych wspomnień, że same te wspomnienia orzeźwią cię i pokrzepią!

Księżyc wszedł równie świetnie, jak wczoraj, i wkrótce blask jego złagodził znacznie dziki charakter całego obrazu. Zlekka jakby nieśmiało zarysowują się kontury odległych szczytów. Radbyś zatrzymać to nowe wrażenie co najdłużej, ale późna godzina. Rozsądek i znużenie radzą wyspać się przedewszystkiem.

Ognisko wpół przygasa, górale jeden po drugim zawijają się w czuchy, kładą obróceni plecami do „watry“ i natychmiast usypiają. Śpią smaczno, a jednak czujnie. Jeśli ogień zbyt przygasa, zawsze się znajdzie który z nich, co go natychmiast drzewem zasili. Sabała i tu zachowuje się oryginalnie. Nie plecom samym porucza regulowanie ciepła, ale rękę jedną na nich opiera i jakby przy graniu machinalnie nogą takt znaczy, tak w nocy, śpiąc smacznie, odbywa tą ręką powolny, miarowy prawie ruch. To otwiera dłoń, to ją zamyka. W kilka minut cały obóz już spoczywa. Tylko Wojtek Roj musi nieodwołalnie jeszcze jednej dopełnić czynności. Zagląda do namiotu, otula nas, obwija w koce i kołdry, wypytuje: czy jeszcze kto czego nie potrzebuje?

Spano wybornie, a że nazajutrz była pogoda, więc zaakceptowano projekt Roja, żeby pójść na Wysoką. W tym celu puszczono się ku Zmarzłemu Stawowi pod Żelaznemi Wrotami, a wyszedłszy na t. z. „bulę“, gdzie zostawiono pakunki pod opieką Sabały i jego orkiestry, wprost żlebem ruszono na Wysoką.

W małą godzinę jesteśmy na szczycie. Jasno i ciepło. Gęsto obsiedliśmy kończysty czubek góry. Jeśli Gerlach usposabia posępnie, to Wysoka przeciwnie: tańczyć wprawdzie nie można, bo niema gdzie, ale za to śmiech i gwar wesoły.

Widok stąd równie piękny, jak ciekawy i pouczający. Ztąd jednocześnie i grupę Gerlachu i szczególniej Krywania

doskonale opatrzysz, nie mówiąc już o zachodnich szczytach. Jeden tylko zarzut można zrobić temu punktowi, to jest, iż z niego nie widzisz Wysokiej, bo ona istotnie każdej panoramie tatrzańskiej nadaje szczególny wdzięk wykwintnemi swojemi kształty.

O 3-ciej po południu opuszczano szczyt, zaczęto schodzić ku Wadze, zkąd po drodze wstąpiono na oba szczyty Rysów. Ztąd, zamiast iść utartym szlakiem, poszukano nowej drogi granicą ku Żabiemu, a następnie żlebem do Czarnego Stawu. Nawiasem mówiąc, Chałubiński jest zdania, że rzeczywistem Morskiem Okiem jest to górne jezioro, które my teraz nazywamy Czarnym Stawem, a dolne jezioro, powszechnie nazywane Morskiem Okiem, jest Rybiem Jeziorem. We dwie godziny po zejściu z Rysów, zatrzymano się na „wale oddzielającym Morskie Oko od głębszej doliny Rybiego", nagotowano herbatę, a jednocześnie dano sygnał do schroniska, żeby wysłano tratwę. A ściemniło się już zupełnie.

> Tymczasem księżyc z za Rysów wygląda i spokojne wody jeziora, jak śniąc, urocze snują złudzenia. Potoki, śniegi, szczyty gór: ciemne smugi kosówki, oblane drgającym blaskiem w lekkich, tajemniczych jakichś kreślą się zarysach, w głębinie Rybiego.

W końcu przypłynęła tratwa, na której też przepłynięto jezioro, zdążając na noc do opustoszałego już o tej spóźnionej posezonowej porze schroniska. Zastano tam tylko trzech jakichś Wiedeńczyków, którzy tu z Gładczanem przyszli przez Zawrat, a już spali w zaryglowanej izbie.

Nazajutrz, po doskonale przespanej nocy, ponieważ pogoda była cudna, dopiero w południe ruszono do Roztoki, stamtąd zaś, wyprawiwszy namiot i część pakunków do domu, pod wieczór ruszono do Jaworzyny.

> Już jesteśmy na niskiej przełęczy, oddzielającej Jaworzyńską Dolinę od Doliny Białki, już „kościeliska" nuta zwiastuje nas zdaleka. Zewsząd wylegają ciekawi oglądać mniej zwykłych w tej porze gości. Na widok choć już zmniejszonego, ale zawsze dość licznego pocztu górali, z muzyką i śpiewem, poznają nas odrazu. Dobrze bo też jesteśmy tu znani. Już uprzejma gosposia z oberży, znakomitość w sztuce kulinarnej, stoi przed drzwiami i, kiwając głową, uśmiechem oznajmia, że nas poznaje, choć się już w tym roku nie spodziewała.

Jaworzyna węgierska mocno przypomina zakopiańskie „Hamry“. Podobne położenie w wąwozie, takie same domki robotników, zwierzyniec, czarne żużlami wysypane drogi. Są tu kuźnice, a także i młyn do mielenia „smreków“ na papier. Wesoły i śpiewny ludek z przyjemnością zużytkowywa świeżo przybyłą kapelę, i znów podłoga dudni długo w wieczór. Jest dla odmiany i dobre piwo; „herba“ kipi obficie, gwar wesoły. Nawet jakiś rodzaj maskarady urządza się na prędce. Ktoś z miejscowych facetów przebiera się za konia czy wielbłąda, ku wielkiemu przerażeniu żeńskiej połowy towarzystwa.

Ponieważ i nazajutrz jeszcze była pogoda, więc Chałubiński kazał przywołać starego Murdułę, dawnego robotnika, a *per modum* przewodnika po miejscowych górach, i kazał mu się prowadzić na Murań. Łatwa to wycieczka, ale i tu zdarzyły się przejścia i „progi“ dość ryzykowne. Niestety, gdy znaleziono się na szczycie, przyszły mgły, tak, że wypadło zrezygnować z widoku na Tatry. Powrotna droga była połączona z jeszcze większemi trudnościami, bo n. p. przez jeden próg trzeba było „na czworakach spuszczać się z głową mocno ku dołowi pochyloną“. Na wieczór zdążono do oberży, gdzie wszystkich czekała „wieczerza wytworna“.

Następnego dnia pojechano już „siwkami Marcina“ do domu, ale żeby nie przyjeżdżać za wcześnie, zatrzymano się w Poroninie, aby obejrzeć Sichłe i Toporowe Stawki. „Ostatni etap w Jaszczurówce. Wesoło, przed zmrokiem wózek Marcinka wiezie do domu dziwaczną grupę siedzących w niemożliwych pozach taterników, Naturalnie zawsze z muzyką.“

„Łaskawy Czytelniku — pisze Chałubiński w zakończeniu swego opisu — (zwracam uwagę twoją, że epitetu łaskawy na końcu tego artykułu używam poniekąd jako *captatio benevolentiae)*, gdybyś wiedział, jak źle wyglądałem, wychodząc na tę wycieczkę, i jak dobrze z niej wróciłem, kiedy własna żona oczom swoim wierzyć nie chciała, to darowałbyś mi niewątpliwie, że i Ciebie tak długo po Tatrach wodziłem. Poczucie odzyskania sił sprawiło, że pomimo wrodzonej powściągliwości pióra (muszę sobie oddać tę sprawiedliwość) pierwszy raz przedsięwziąłem skreślić moje wrażenia. Ale dla uspokojenia Cię, przyrzekam najuroczyściej, że się to nie powtórzy, choćby mi losy dozwoliły jeszcze oglądać nasze ukochane Tatry“.

Ferdynand Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Gromada w ustroju dawnej wsi małopolskiej.

(Ciąg dalszy).

Za czynności swoje, przedsiębrane w interesie obywateli wiejskich, wójtowie otrzymywali wynagrodzenie, albo przynajmniej pewien w niem udział. Nie znamy bliżej jaka taksa obowiązywała za obecność woyta z przysiężnymi przy zapisie, lub umowie alienacyjnej, że jednak opłata była składaną, to świadczą o tem wzmianki o kosztach, jakie strona ponosiła. Jeżeli zaś od zapisów i zeznań pobierali wójtowie opłaty, to tem więcej należały im się one przy podziale gruntów, lub ich rozmierzaniu. Proces prowadzony przeciw wójtowi suskiemu Andrzejowi Herenczykowi w r. 1710 daje nam możność stwierdzenia wielkości opłat. Dowiadujemy się więc, że „Jakub Korczak dał Herenczykowi, wymierzaiącemu grunt złotych trzy“, w innym zaś przypadku „od Franka y Janka Gluskow podczas pomiaru wziął Herenczyk złotych trzy y drugi raz za trzy złote chleba“ [1]), opłaty to za wysokie i niesłuszne, jak świadczy proces, stwierdzają jednak w każdym razie, że w pewnej wysokości wójtowi przysługiwały.

Że za rozsądzenie sprawy wójt otrzymywał pewną część kary, to rzecz naturalna. Nie była ona może zbyt wielka i czasami składano ją w naturze, ale tu już przyczyna leżała w tem, że przeważną

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 180: „Walenty Lenard zeznał, że Jakub Goluszka dał Herenczykowi podczas rozmiarów siana wóz... Mikołay Pietyra zeznaie, że Kolęda wóz zrobił Herenczykowi za to, że mu gruntu przyczyniono“.

część kary zagarniał dwór. W majętności suskiej szczególnie popierano karę zapłacenia pewnej ilości gorzałki, którą w sądzie wypijano, popierano zaś zwłaszcza wtedy gdy chodziło o pogodzenie stron poważnionych. Tak to Paździorowie mają w r. 1729 stronie pokrzywdzonej kupić garniec gorzałki [1]), a i przy wzajemnem pobiciu się nieraz tę karę wymierzano. Gdy na stronę skazaną nakładano karę pieniężną, która miała przypaść wójtowi z przysiężnymi, to ta nieraz nie dochodziła ich z powodu ubóstwa strony. W takim wypadku skazany musiał odsiadywać więzienie, przy czem nieraz istniały postanowienia, regulujące stosunek między karą pieniężną a odsiadywanem więzieniem. W Limanowej Hieronim Lipski w ustawie z r. 1683 postanowił: „któryby zaś występny win założonych nie miał czym odprawić, dla ubóstwa, tedy za iedną grzywnę dwa dni, dwie nocy w iatcze odsiedzieć powinien [2]). Zauważyć również wypada, że skazaniec czasami naumyślnie aby nie zapłacić kary udawał biednego. Miano wtedy i na niego sposób. Oto nie wypuszczano go z więzienia dopóty, dopóki całej kary nie zapłacił on sam, lub ktoś za niego w zastępstwie [3]).

Dla dopełnienia obrazu wypadnie nam jeszcze przedstawić sprawę ustąpienia wójtów z zajmowanego urzędu. Mając na uwadze przymusowy charakter tego stanowiska, jasną jest rzeczą, że ustąpienie to nie mogło mieć miejsca przez zrzeczenie się godności — chyba w wyjątkowych przypadkach, — występowało zaś przeważnie w trzech formach:

a) z powodu starości i choroby:
b) „ wyproszenia się, względnie zwolnienia;
c) „ dokonania przestępstwa.

Nie wiemy dokładnie, jaki to wiek uzasadniał ustąpienie wójta z urzędu. Ponieważ jednak Groicki podaje jako granicę niezdolności do piastowania urzędu sędziowskiego rok 70-ty [4]), przeto i my

---

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18., str. 244. Na podstawie uchwały sądowej w Kasinie za wezwanie urzędnika do spełnienia pewnej czynności prawnej należało się pół grzywny.

[2]) Arch. kraj. w Krak., dep. 94, str. 297—303.

[3]) Tamże: „drudzy zaś za popełniane winy, ieżeliby instanti mogące nie chcieli, tak długo w iatcze siedzieć powinni, póki zadosyć dekretowi nie uczynią“. Podbnie było i w Suchej, gdzie nakładając karę nakazywano, z więzienia dotąd nie wypuszczać, aż te grzywny odda y wyliczy zaraz“. Rkp. Bibl. hr. Bran. 18. st. 4.

[4]) Groicki: „Porządek prawa Magdeb.“, karta 30.

ten rok przyjmiemy jako uzasadniający ustąpienie, przyjmiemy tem więcej, że dzieło Groickiego doczekało się wielkiego rozpowszechnienia i zapewne było znane, jeżeli nie samemu wójtowi, to panu wsi, względnie pisarzowi gromadzkiemu.

W większej jeszcze mierze niż podeszły wiek, uzasadniała ustąpienie z urzędu choroba. Przyczyna to była tem wygodniejsza, iż łatwo ją było uprawdopodobnić bez zwrócenia na siebie uwagi dworu. Tak to zwolniono w Limanowej z wójtowstwa Jana Żarnowskiego „gwoli niesposobności zdrowia y dla zabaw różnych“ [1]). Podobnie w innej wsi znajdujemy zapiskę „ponieważ woyt stary... dla słabości swoiey zadosyć powinności swoiey czynić nie może, więc na mieiscu tego“ obrano innego poddanego woytem.

Drugim sposobem ustąpienia z urzędu było wyproszenie się od niego względnie zwolnienie, przeprowadzone przez czynnik po temu kompetentny. W pierwszym wypadku działał sam poddany wypraszając się przed wójtowstwem, przy czem oczywiście nie wystarczała gołosłowna prośba, lecz trzeba ją było poprzeć odpowiednimi powodami. Jako takie służyły: większa ilość dzieci małoletnich, sprawowanie większej opieki, prowadzenie takiego przedsiębiorstwa, które nie pozwalało na większe zajęcie się sprawami gromady i t. p. Przeciwieństwem do wyproszenia się, było zwolnienie z urzędu, przeprowadzane zwyczajnie przez samego pana. Miało ono miejsce wtedy, gdy wójt nie popełniał wprawdzie przestępstw i spełniał swe obowiązki, spełniał je jednak ku niezadowoleniu gromady lub pana. Gdy z rządów jego niezadowoloną była gromada, to zwracała się z prośbami do dworu o usunięcie niewygodnego sobie urzędnika [2]), rzeczą zaś dworu było ocenić zarzuty wójtowi stawiane, a w ślad za tem odrzucić lub przychylić się do prośby. Krótszą była manipulacya, gdy ten urzędnik naraził się dworowi. Wtedy bowiem — zależnie od tego czy gromada miała prawo wyboru, lub nie — dwór usuwał wojta, polecając nowe wybory gromadzie lub sam nowego mianując.

---

[1]) Arch. kraj. w Krak., dep. 94, str. 177.

[2]) Nieraz wójt widząc niezadowolenie wśród gromady, sam uprzedzał wypadki i prosił dwór o zwolnienie z urzędu. Tak n. p. postąpił Kuba, wójt kasiński, z którego gromada była niezadowolona, ponieważ posądzała go, iż donosi na nią do dworu. W tym jednak przypadku gromady i jej niezadowolenia nieuwzględniano, ponieważ przeor, jako właściciel Kasiny rozpatrzywszy sprawę, wójta nietylko nie zwolnił, ale jeszcze dodał postanowienie, iż ktokolwiek Kubę obrazi, otrzyma przy gromadzie 12 plag. Ulanowski: Wieś polska, str. 14.

Stosunkowo najczęściej spotykamy w aktach trzecią formę ustąpienia z wójtowstwa — ustąpienie skutkiem popełnionego przestępstwa. Zaznaczyć jednak należy, iż zanim usunięto wójta, trzeba było przeprowadzić postępowanie sądowe z nim, a w razie udowodnienia mu winy, w wyroku orzekano między innemi i zrzucenie z godności — naturalnie obok kar pieniężnych i więzienia. Karano go zaś tem surowiej, iż jako osoba urzędowa, winien był świecić dobrym przykładem, ponadto zaś, że w pzzysiędze zobowiązał się do skrupulatnego spełniania swych obowiązków. W Olszówce w rocie przysięgi znajdowała się klauzula: „za przekonaniem zaś, gdybyśmy tey przysiędze dosyć nie czynili sądowi Dworskiemu iako krzywo przysięgczy gardłem płacić pozwalamy się“[1]). Gdzieindziej na wypadek niewypełniania obowiązków groziła również wielka kara, chociaż nie tak surowa. W Limanowej na mocy ustaw pańskich obowiązywało postanowienie: „w czym ieżeliby się tak na woyta, iako y na podwoyciego z ławnikami zdrady, niedbalstwo pokazało się, żeby nie według dekretów tych sząndzieli. tedy troiaką winę na takiego przestępce y degradowaniem z urzendu, na którym żeby nigdy nie zostawał“ [2]).

Mimo tych zobowiązań się i postanowień karnych, nie można powiedzieć, jakoby wójtowie skrupulatnie spełniali swe obowiązki, nie dając powodu do niezadowolenia i skarg, jakoby swego stanowiska nie wyzyskiwali dla egoistycznych celów. Stosunkowo dużo znajdujemy procesów przeciw niesumiennym wójtom i przez to zyskuje się w tym względzie obraz dosyć czarny, skoro jak to zwykle bywa, akta nie podają nazwisk tych, którzy ku zadowoleniu ogólnemu sprawowali swój urząd.

Jednego z takich niesumiennych wójtów widzieliśmy już uprzednio. Jest nim Szymon Piekarczyk z Olszówki, który w r. 1697 nie umiał się wyliczyć z 100 złr. i tylko wyrozumiałości gromady zawdzięczał dalsze pozostanie w urzędzie obok bezkarności swego czynu [3]). Podobnie i w Rajbrocie, kiedy Jakub Palica ustąpił z wójtowstwa, pojawiły się na niego skargi ze strony obywateli wiejskich, „że miał onych w różnych składkach krzywdzić y pieniądze na swoią obracać potrzebę“. Wywikłał się na szczęście z tej sprawy, bo chociaż nie zdołał się wykazać rejestrami i kwitami na po-

[1]) Rkp. Bibl. Jag. 909, karta 24: „w tym gromada maiąc respekt na iego różne prace ustąpiła dnia dzisiejszego“.
[2]) Arch. kraj. w Krak., dep. 94, str. 297—303.
[3]) Rkp. Bibl. Jag. 909, karta 24.

parcie prawdziwości swych zeznań, to jednak pozwolono mu złożyć przysięgę oczyszczającą [1]. Nie ostał się przed podejrzeniami i wójt łukawiecki Walenty Kokoszka — jego bowiem i żonę Zofię oskarżała gromada, iż z pieniędzy przez ogół poddanych złożonych, żyli. Pamięć zmarłego uratowała gromada tylko w ten sposób, iż odstąpiła od przeprowadzenia dowodu i zadowoliła się oświadczeniem zwróconem do żony zmarłego wójta: „raczey niech odda resztę podług sumnienia swego sierocińskiego, duszy męża swego ciężaru nie czyniąc“ [2].

Gorzej skończyły się dochodzenia przeciwko wójtom w innych przypadkach. Kiedy bowiem w r. 1706 przekonano się, że wójt krzeszowski „maiąc sobie powierzony spichlerz pański w Krzeszowie... nosił nocnym sposobem ze spichlerza pszenicę, owies y siemię lniane, sól, gwoździe gotowe“, to przysiężni zadecydowali za tę winę karę śmierci. Nie wykonano jednak wyroku śmierci, ponieważ ówczesna właścicielka włości suskiej złagodziła go w ten sposób, iż Karwat tytułem okupu za głowę miał zapłacić 150 grzywien i miał być ze wsi wygnany, aby „z ludzmi poczciwemi nie zasiadał, z woytostwa aby był zruczony“ [3]. Ale i w tej formie wyrok nie utrzymał się, nie wykonano bowiem na nim wyświecenia ze wsi, lecz owszem mając na uwadze jego stary wiek, umieszczono go przy szpitalu wiejskim. Musiano Karwata w szpitalu umieścić, ponieważ nie stało już dla niego gospodarstwa, które trzeba było sprzedać celem zapłacenia kary pieniężnej nałożonej w sądzie.

W parę lat potem przyszła kolej w tejże majętności suskiej, na wójta Jędrzeja Herenczyka, którego oskarżono o przechowywanie u siebie w karczmie „Zofii Mikołaiczanki, która sie znalazła winna kradzieży, z zboynikami chodziła i niecnoty płodziła, w zamku pokradła y rozne excessa robiła“, szynkowanie fałszywemi miarami i wadliwe spełnianie swych obowiązków wójtowskich, ponieważ „będąc woytem przysięgłym, fałszywie się sprawował w wymiarach gruntow, biorąc pieniądze od ubogich ludzi“. Ponadto zarzucono mu, że widełki od srebrnego sztućca, które we dworze zgubiono, u siebie przechowywał, a potem sprzedał. Za te przestępstwa „iako człeka notowanego“ złożono go z urzędu, dodając przy-

[1]) Arch. kraj. w Krak., dep. 268, str. 18.

[2]) Tamże dep. 236, str. 13—14. I rzeczywiście Zofia Kokoszkowa oddała gromadzie zł. 31 gr. 15, jako jej własność.

[3]) Rkp. Bibl. hr. Bran. 18, str. 160.

tem, że wszelkie wyroki przez niego wydane i pomiary przez niego poczynione, poprawi się, ponadto zaś postanowiono, że „za nieposłuszenstwo y przestąpienie woli Panskiey dwieście grzywien zapłacić powinien, y na ukazanie inszym niedziel sześć w kaydanach z inszymi robotnikami skałę łupać“. I tu jednak kary w całości nie wykonano, ponieważ właścicielka klucza zrobiła użytek z swego prawa łaski i Herenczyka od przymusowych robót zwolniła[1]).

Z majętności suskiej mamy jeszcze jeden przykład złożenia z urzędu wójta za przestępstwo. Los ten spotkał wójta Tarnawskiego, Mateusza Pająka, jako następstwo skargi Jana Sitarczyka poborcy gromadzkiego tej wsi. Sitarczyk bowiem zaprzysiągł, iż wybrawszy od poddanych zł. 64, oddał te pieniądze wójtowi razem z wykazem kwot pozostałych do odebrania. Wbrew temu Pająk twierdził, iż do rąk otrzymał tylko zł. 50, czemu oczywiście nie uwierzono wobec przysięgi powoda. Nie było to jedyne przestępstwo, ponieważ obok niego ośmielił się bez pozwolenia dworu nakazać składki gromadzie na murowane krzesło do kościoła mucharskiego i ośmielił się przywodzić plebana, żeby ludzi spowiedzi wielkanocnej nie słuchał“ [2]).

Jak widzimy, można przedstawić szereg wzmianek, które niezbyt jasne światło rzucają na wójtów wiejskich. I nieraz dziwić się nawet temu nie możemy, skoro na tę godność niejednokrotnie dostawali się ludzie niezbyt dobrze zapisani w aktach sądowych. Takim był między innymi, Błażej Bogdanik, leśniczy suski, a późniejszy wójt szyszawski i wojewoda wałaski. On to w r. 1699 dla przysporzenia korzyści bratu Mateuszowi sfałszował testament Jana Pochopnia, za co go spotkała kara trzydniowej turmy, “żeby się insi kaiali, żeby nie pozwalali na takie zapisy y testamenta“ [3]). Tenże sam Bogdanik w rok po tym wypadku, wziąwszy od poborcy gromady Tarnawskiej Franciszka Palecznegu zł. 485 gr. 12 z obietnicą oddania tychże poborcy ustanowionemu na powiat

[1]) Tamże, str. 180. Należy zaznaczyć, że i nietrzymanie się ustaw pańskich, mogło być powodem usunięcia poddanego z wójtowstwa. I dlatego to usunięto jednego z wójtów w kluczu suskim, ponieważ razem z 10 innymi poddanymi pił w obcej karczmie. Wchodził tu naturalnie w grę i ten moment, iż jako urzędnik winien był świecić dobrym przykładem i nie popierać przestępnych czynów.

[2]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 59—60.

[3]) Tamże, str. 59—60.

slaski, nie wypełnił zobowiązania w całości, ponieważ oddał tylko zł. 431 gr. 3, przez co sprowadził egzekucyę na niewinną wieś [1]).

Z drugiej strony trzeba zauważyć, że chociaż wielu było wójtów baczących na swój interes i pod tym kątem widzenia działających, to przecież więcej znalazło się takich, na których żadna skarga nie pojawia się w aktach. Wytrzymanie zaś na tem stanowisku było trudne, skoro szło o zadowolenie nietylko dworu, ale i gromady, znaną zaś jest rzeczą, że interesa tych dwu czynników, nie zawsze szły po jednej linii. Wójt musiał uważać na każdy swój czyn, na każde niemal słowo, ponieważ mogło go to drogo kosztować, Że zaś tak było—to świadczy o tem przykład wojewody wałaskiego Grzegorza Świeskosza, następcy na urzędzie znanego nam już Bogdanika. Ten to stwierdził przed sądem w r. 1723 w sprawie poddanego Popielarczyka, iż wypłacił wszystkie długi, a później „przed Panią" (dziedziczką) przyznał, że nie o wszystkich wiedział". Za to zeznanie niezgodne ukarano go, w orzeczeniu bowiem powiedziano „zaczym żeby się więcey tego żaden z woytow nie ważył przyznawać, czego nie wie, ma dać winy panskiey 30 grzywien". zagrożono mu zaś, że w razie powtórzenia się podobnego przekroczenia, będzie złożony z urzędu [2]).

Wójt gromadzki jeszcze z jednym czynnikiem na wsi musiał się liczyć. Był nim proboszcz wiejski, który również stawiał swoje wymagania, umiejąc w potrzebie energicznie postąpić. Doznał tej energii wójt krzeszowski, którego za przetrzymanie u siebie kluczy kościelnych rozgniewany proboszcz wrzucił do kuny, w której ten tak bardzo cierpiał, iż jak stwierdza jeden z świadków, musiano go wodą polewać „bo już był zszczerniały" [3]). Mimo usilnych prośb pojedyńczych poddanych nie chciano go uwolnić i dopiero wstawiennictwo urzędnika dworskiego wyzwoliło go z więzienia. I wtedy jednak rozgniewany pleban powiedział słowa znamienne: „w zamku sprawiedliwości nie czynią, uczynię ią sobie sam, czyli cię Pan Bóg, czyli diaboł przyniosł, gdyż by ia był woytowi dobrze boki obłożył" [4]).

---

[1]) Tamże, str. 67—68.

[2]) Tamże, str. 326.

[3]) Tamże, str. 266—268. Moment przestępny po stronie wójta przedstawiała kradzież komunikantów, którą skonstatował proboszcz, który wziąwszy klucz „szedł do kościoła, odemknął do zakrystyi, wyjął klucze do cymborium, odemknął komunikanty, zrachował y powiedział, że szesnastu komunikantów niestaie.

[4]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 266—8.

Obok wójta występuje wszędzie we wsiach ława przysięgłych, pierwotnie powołana tylko do funkcyi sądowych, lecz już w tym czasie nie ograniczająca się do nich. Przysiężni zwani są także w aktach ławnikarni, ławicznymi, prawnymi a czasami nawet ludźmi. Liczba ich we wsiach nie była jednakową. W kluczu łąckim a więc wsiach: Palchówce, Łukawcu, Łące i Ferliczce bywa ich zwykle siedmiu, przyczem dwaj z nich zajmują poważniejsze stanowisko w ławie, jeden z nich bowiem nosi tytuł podwójciego, a drugi podsędka. Podobnie liczbę siedmiu przysiężnych widzimy w Staszkówce z tą tylko różnicą, że akta notują w niej tylko podwójciego a pomiędzy ławnikami rozróżniano „scabini seniores“ i „iuniores“ [1]). Mniejsza liczba przysiężnych znajduje się we wsi Pobitno, bo wzmianki źródłowe wspominają o sześciu. a tylko w jednym przypadku obrano ich siedmiu [2]). Co do wsi Olszówki, to przy wyborach z r. 1702, widzimy aż 12 ławników. Czy jednak ilość ta była stałą, nie umiemy powiedzieć, ponieważ przy innych sposobnościach zauważamy ich tylko dziesięciu, lub nawet sześciu. Jak się przedstawiała liczba przysiężnych w kluczu suskim tego nie można zbadać, ponieważ występują oni tylko w sądzie centralnym wójtowskim w Suchej, dokąd z natury rzeczy powoływano ich nie wszystkich, lecz paru i to tylko przygodnie.

Ze wzmianek tych można stwierdzić, iż ilość przysiężnych wahała się między sześciu a dwunastu, zapewne zaś przy wciągnięciu do badań innych wsi, przekonalibyśmy się, iż ich jeszcze mniejsza liczba bywała. Wskazywałby na to przykład Stanisławic, w których tylko dwóch ławnikow postanowiono. Taka mała liczba miała swe uzasadnienie. Oto nie cieszyli się oni sympatyą, specyalnie zaś nie cieszyli się nią podczas wykonywania swych funkcyi sądowych. Uważano, że lubiąc pić, mają doskonałą sposobność potemu przy rozsądzaniu spraw, do których rozstrzygania nie zasiadają trzeźwo, ponieważ już uprzednio przez stronę pragnącą wygrać są obficie trunkami częstowani. W mniemaniu czynników kompetentnych mniejsza ilość przysiężnych, to gwarancya mniejszych kosztów stron. a zarazem większej bezstronności sądu [3]).

[1]) Rkp. Bibl. Jag., 274, str. 35.

[2]) Arch. kraj. w Krak., dep. 285, str. 30.

[3]) Dlatego to Anna Wielopolska w swej ustawie z r. 1696 wyraża się „Sąd kazdy od wojta mocą panów własnych i ich namiestników rządząc państwa tutejszego zagajony, powinien być w skromności wszelkiej i trzeźwości zachowany, dlaczego w tym się osobliwa zaznacza ostrożność, aby pijany przysiężnik nie zasiadał sądu“. Chomentowski: Materyały, str. 412.

Co do sposobu ich ustanowienia, to nie różni się on niczem oo takiegoż ustanowienia wójtów. Jednem słowem, wszystko to co powiedzieliśmy o wyborze, względnie nominacyi wójtów, odnosi się także do przysiężnych.

Co do ich kompetencyi, to stanowisko ich najlepiej się określi, charakteryzując ich jako pomocników i zastępców wójta. Oni to więc mają pewien udział w stanowieniu ustaw, występując przy boku wójta, zaś w sądownictwie oni to z wójtem zasiadają w ławie. Obowiązani zaś byli stawić się do ławy na każde zawołanie wójta, w stanie trzeźwym i punktualnie, w przeciwnym bowiem razie czekała ich kara pieniężna, która przy ustawicznem zaniedbywaniu swych obowiązków mogła się przerodzić w usunięcie z urzędu. Mamy ślady, że tylko na sądach rugowych musieli się pojawiać w pełnej liczbie, na posiedzeniach zaś zwykłych, zwoływanych przez wójta od wypadku do wypadku wystarczała mniejsza ich ilość. Sam Groicki stwierdza: „a ku takiemu potocznemu sądowi, dosyć iest dwa albo trzey przysiężników z woytem, ieśli ich na ten czas nie może bydź więcey“ [1]). Kiedy sąd wójt zagaił, obowiązywały go pewne zasady, które tenże Groicki w ten sposób przedstawia: „Woyt y każdy inny sędzia, gdy siedzi na sądzie, to ma baczyć, a pilnie rozmyślać, iże na stolcu Bożym siedzi: aby dobrze a sprawiedliwie sądził, tak bogatego iako ubogiego: aby w wysłuchaniu obudwu stron iednakim, łaskawym, łacnym a chutliwym był: nie z gniewu, nie z nienawiści sądził: albowiem gdzieby inaczey było, żeby sye albo w pychę podniósł, albo dla łakomstwa a gniewu od sprawiedliwości uniósł: sprawiedliwości nie czynił: wiedzieć ma zapewne, iże go Pan Bóg wszechmogący czasu dnia ostatecznego srogo za to sądzić będzie. A mimo to, ieśli sye wedle Urzędu swoiego, iako przystoi nie zachowywa a sprawiedliwości nie czyni: te wine y tu na siebie odnosi, iż sye ostawa krzywoprzysiężcą. Urząd traci, szkodę cierpiącemu nagradza y inne zapłaty na sobie odnosi“[2]). Czy sędziowie zawsze mieli te zasady przed oczyma — jest to co najmniej wątpliwe. W każdym zaś razie nieraz wyrządzali ludności wiejskiej krzywdę, którą dopiero dwór musiał naprawiać kasując ich orzeczenie. Tak to w majętności suskiej znieśli oni bezpodstawnie testament Tomasza Płonki, przynajmniej w punkcie odnoszącym się do żony zmarłego i zabrali bydło, które jej na podstawie zeznania ostatniej woli przysługiwało.

---

[1]) Groicki: Porządek sądów, karta 45—6.
[2]) Tamże, karta 9—10.

I w innych czynnościach sądowych pomagają przysiężni wójtowi. Oni to przyjmują zeznania ostatniej woli, oni to ważnie fungują przy umowach alienacyjnych, oni razem z wójtem oszacowują szkody w polu i lesie, oni rozmierzają grunta w przypadku sporu[1]), oni w końcu zajmują się inwentaryzacyą pozostałości po zmarłym poddanym, który nieletnie dzieci opuścił. W tym to ostatnim charakterze oni to obejmują tymczasowy zarząd majątku, zanim opiekun ustanowiony przez czynniki kompetentne nie zajmie się gospodarstwem i dziećmi.

I w funkcyach administracyjnych mają udział. Im to powierzony jest obok wójta nadzór nad poddanymi, tak w kierunku prowadzenia gospodarstwa, jak i moralnym. Tak to w jednej z wsi mieli przysiężni baczyć, ażeby poddani zapuścili zaroślami pewne grunta pod lasem, w majętności zaś suskiej w wielu przypadkach przysiężny oskarża poddanych o niemoralne życie. Ponadto są pewne ślady, iż w razie nieobecności wójta, mieli oni prawo, a czasami i obowiązek poczynienia zarządzeń nieodzownych w nagłym nie cierpiącym zwłoki wypadku. Stwierdzić również można, że o jakiejś ich specyalnej kompetencyi, do której oni tylko — z pominięciem wójta i innych urzędników — byliby powołani, znane nam akta nic nie mówią. Bo że czasami oni pewną czynność załatwią, bez ingerencyi wójta, to jeszcze fakt ten nie ma decydującego znaczenia, ponieważ w innym przypadku podobnym działała razem z wójtem.

Przysiężni wiejscy mając obowiązki podobne wójtowskim, musieli posiadać i podobne prawa, oczywiście w zmniejszonym zakresie, odpowiednio do mniejszej odpowiedzialności i szczuplejszych obowiązków. I ich więc cześć ochraniana jest specyalnie przez prawo wiejskie, ochranianą zaś jest specyalnie wtedy, gdy występują w charakterze urzędowym, że zaś cieszyli się zwiększoną opieką prawa, tego praktyka sądów wiejskich liczne dawała dowody. Kiedy w kluczu suskim r. 1699 Sobańska obraziła przysiężnego Kazimierza Stanika „nieuczciwemi słowy“, to sąd skazał ją na zapłacenie 1 grzywny i na plag 15, za obrazę osoby urzędo-

[1]) Mamy ślady, że przysiężni wykonując nadzór nad wsią, co pewien czas obchodzili chaty poddanych, ażeby stwierdzić, czy niema w nich jakichś nieprawidłowości. Chodziło im zwłaszcza o zapobieżenie niebezpieczeństwu pożaru i stąd, najprawdopodobniej baczyli oni, czy woda znajduje się w pogotowiu niedaleko domostwa, czy znajdują się drabiny, oszki i t. p.

wej [1]). Podobnie poniósł karę, tylko w większym zakresie, w r. 1701 Klemens Smolik, poddany majętności suskiej. On to kupując pieczywo w karczmie, posądził razem z innym poddanym nazwiskiem Lipski przysiężnego Błażeja Srobarczyka o kradzież rogalka. Wywiązała się skutkiem tego podejrzenia bitka, ponieważ „Srobarczyk żałośny będąc uderzył Lipskiego ręką w gębę. Lipski zaś dawszy do tego okazyę wziął go za łep y bił piianego, do którego przymieszawszy się Smolik uderzył kiiem Srobarczyka kilka razy, a potym w głowę y ranił bardzo“. Kara wymierzona przez sąd wzięła pod uwagę tak pobicie, jak i obrazę charakteru urzędowego, nakazano bowiem, aby Smolik zapłacił Srobarczykowi za rany 15 grzywien, za obrazę zaś jego jako przysiężnego i sądu, ponieważ miał rzec „zie sąd trzysta diabłów, co mnie będzie sądził“, skazano go na zapłacenie 2 grzywien i na otrzymanie 15 plag [2]).

Za swoje czynności mieli i przysiężni zwolnienia od pewnych ciężarów. Zwolnienia te — o ile mogliśmy stwierdzić — dotyczą przeważnie mniejszych i mniej uciążliwych powinności, jak stróży i podróży, a nie obejmują robocizny [3]).

Podobnie mają przysiężni i udział w karach pieniężnych, składanych przez skazanych na rzecz sądu, przyczem nieraz udział ten objawiał się w wypiciu pewnego quantum alkoholu, zapłaconego przez stronę prawem przekonaną.

Ponieważ i urząd przysiężnych, podobnie jak wójtów, miał charakter przymusowy, przeto zrzeczenie się go, nie mogło mieć wagi. I dlatego to przysiężni ustępują z godności zajmowanej — podobnie jak wójtowie — z powodu choroby lub starości, na prośby swoje, względnie usunięci przez pana lub gromadę i z powodu popełnionego przestępstwa. Nie przytaczamy bliżej żadnego z tych momentów uzasadniających ustąpienie, ponieważ uczyniliśmy to szerzej omawiając kwestyę wójtów, lecz ograniczymy się tylko do kilku uwag.

Oto usunięcie z urzędu było czasami następstwem niechodzenia na posiedzenia sądu, względnie niepojawiania się w gro-

---

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 39.

[2]) Tamże, str. 83.

[3]) Zwolnień tych nie można rozumieć w ten sposób, jakoby odpowiednie ciężary niknęły dla dworu. Chociaż bowiem zwolnieni są od nich przysiężni, to jednak gromada obowiązana jest za nich je wypełnić. Gdy bowiem jednego z wójtów zwolniono od robocizny, to zaznaczono zaraz „w czym go gromada bez wszelkiey exkuzy zastępować powinna“.

madzie, ponadto zaś mogło mieć miejsce w przypadku złej gospodarki. Jest to zupełnie zrozumiałe, jeżeli się zważy, że tak w jednym jak i drugim przypadku przysiężny winien najpierw świecić dobrym przykładem współobywatelom, ażeby potem mógł ich sądzić lub nadzorować.

Że i przestępstwa usuwały przysiężnych z zajmowanych urzędów, to jasne. Znamienna rzecz jednak, że nie tylko przestępstwa karne miały ten skutek, ale i cywilne. W Suchej bowiem nie tylko złożono z przysięstwa Jana Burego z powodu udowodnionego mu cudzołożenia z Agnieszką Wilkową [1]), ale ten sam los spotkał Jana Kawę za to tylko, iż był świadkiem kontraktu kupna-sprzedaży jednej z zagród, co do której istniało wyraźne postanowienie, iż niema podpadać alienacyi [2]). Moment karny oddziałał także przy usunięciu z godności ławnika u Jakuba Gabrysia w Rajbrocie. Złożono go z urzędu za to, „że się ważył tenże Gabryś przez skargi bić y podczas nocy hałasy po drogach czynić, co się nie godziło dla... przysiężnego, z któregoby iako nailepszy do zbudowania przykład bydź powinien, a on zasady, bicia między somsiadami wszczyna y nie raz ponawia“ [3]).

Bardzo ważnym urzędem we wsi jest pisarz. Znaczenie jego dlatego wielkie, ponieważ jest to niemal jedyny człowiek we wsi znający prawo pisane i będący w posiadaniu przynajmniej paru podstawowych dzieł prawnych. On to naprawdę powiedziawszy prowadzi proces, wyszukując zasadę prawną, na podstawie której sąd sprawę rozstrzyga. Już pewną rolę w procesie nadawał pisarzowi Groicki nadmieniając, że pytania stronom może zadawać pisarz obok wójta i podwójciego [4]), a praktyka sądowa jeszcze bardziej umocniła jego stanowisko, oddając cały proces w jego ręce. Ale nie tylko sprawy sądowe znajdowały się pod jego wpływem, albowiem i inne wszelkie kwestye, stanowiące kompetencyę gromady, znajdowały się w zakresie jego działalności. Prawdopodobnie stosunki pod tym względem nie odbiegały wiele od dzisiejszych, gdzie to po gminach wiejskich nie wójt, ale pisarz faktycznie załatwia wszystkie sprawy i na wszystko ma wpływ.

---

[1]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 305.

[2]) Tamże, str. 272. Obok tego miał zapłacić 10 grzywien do zamku tytułem kary.

[3]) Arch. kraj. w Krak., dep. 236, str. 20—1. Wyrok ten jednak i zrzucenie z urzędu nie długo musiał działać, skoro niedługo potem spotykamy tegoż Gabrysia w roli przysiężnego.

[4]) Groicki. Artykuły prawa magdeb., karta 141, str. 5.

Pisarze wiejscy albo byli mianowani, lub też wybierani, przyczem pierwszy sposób w daleko większej mierze był używany, o ile tylko wieś zdobywała się na tego urzędnika. Mamy bowiem ślady, że wiele miejscowości bez niego się obywało. Tak obywała się bez pisarza Olszówka, nie miały go też Staszkówka i Świniarsko, w których to miejscowościach funkcye pisarskie od wypadku do wypadku sprawuje albo sam podstarości [1]), względnie dworzanin jego, a nieraz też używano do tego celu uniwersalnego organisty. Jeżeli już jednak wieś zdobywała się na pisarza, to zwyczajnie bywał nim wychowanek tejże wsi. Takim był Franciszek Babrajowicz w Rajbrocie, takim Zygmuntowski w kluczu ślemieńskim, takim był także Gargas w Łące. Może nieraz gromada w tym celu wysyłała chłopców wiejskich na studya do miast większych, aby potem dorobić się w nich dobrego materyału na pisarzy, a nieraz i wójtów. Że tak być mogło, to wskazuje na to przykład Podhala. Tam to gromady wysyłały dobrze uczących się chłopców wiejskich do Podolińca a nieraz i dalej, utrzymywały ich zanim ukończyli swe studya, aby potem powołać ich na zagon ojczysty dla służenia mu nie tylko pługiem, ale i piórem i zdobytemi na obczyźnie wiadomościami [2]).

Obowiązkiem ich było wpisywanie do ksiąg wiejskich wszelkich testamentów, zeznań skryptów dłużnych, przedewszystkiem zaś wszelkich kontraktów alienacyjnych. Były bowiem wsi, w których wpis kontraktu kupna-sprzedaży, zastawu, czy zamiany był obligatoryjny. Tak, że umowa sama jako taka, nawet faktycznie w poszczególnych punktach wypełniona, nie miała wagi i sprzedawca zawsze mógł żądać zwrotu nieruchomości, o ile tylko umowa do niej się odnosząca nie była wpisana w księgę. Tak było np. w Limanowej [3]), a nie inaczej miała się rzecz i w kluczu suskim [4]). W tych warunkach rzeczą pisarzy było baczyć, ażeby umowa była wiernie wpisaną i ażeby się później do niej jakieś wtręty się nie wkradły. Z ksiąg — w razie żądania stron — wydawał pisarz wyciąg, mający pełną wagę. Wypada zarazem zaznaczyć, iż pisarz przy sporządzaniu aktu musiał zachować pewne formalności, bez

[1]) Rkp. Bibl. Jag., 274, str. 24. Nagłówek jednego z aktów brzmi „per me Adamum Prziborowski scriptum", podobnie jedna z zapisek sądowych Świniarska wprowadza nas na ślad, iż pisał ją pisarz włodarstwa sądeckiego.

[2]) W. Pol: Obrazy z życia i natury, t. II.

[3]) Arch. kraj. w Krak., dep. 94, str. 195—6.

[4]) Chomentowski: Materyały do dziejów robocizny, str. 415—6.

których akt nie miał żadnej wagi. Tak to obok daty i nazwisk świadków, musieli ci ostatni być na akcie podpisani, jeżeli nie pełnym podpisem, to przynajmniej krzyżykiem. Rozumiało się samo przez się, iż za sporządzenie aktu, względnie wyciągu z ksiąg, pisarz otrzymywał wynagrodzenie, nieraz na podstawie taksy ustanowionej przez pana. Dostęp do ksiąg wiejskich miał pisarz najprawdopodobniej tylko w czasie posiedzenia sądowego, względnie w czasie spisywania zeznań stron, pozatem zaś spoczywały one w skrzyni gromadzkiej pod dozorem wójta i przysiężnych, działo się to zaś głównie celem uniknięcia fałszerstw.

Godnością krótkotrwałą, ale za to wielkiej wagi, było stanowisko rugownika czyli mowcy. Obierano go jeszcze przed zagajeniem rugu, obierano go zaś celem wyjawienia przestępstw jawnych i tajnych, które zaszły w gromadzie, o których nikt nie doniósł i nie zaskarżył. Funkcyonuje on jako reprezentant gromady i przedstawia jako taki dalszy etap rozwoju sprzeciwu przeciwko zasadzie, że gdzie niema oskarżyciela, tam niema i sędziego. Dawniejszym momentem w rozwoju, jest obowiązek każdego z poszczególnych członków gromady wyjawienia przekroczeń swych sąsiadów bliskich, bez względu na stopień pokrewieństwa. Stąd to pochodzi, że nie we wszystkich wsiach zauważamy istnienie rugownika. Niema go n. p. w kluczu łąckim, a za to widzimy go w Kasinie Wielkiej [1]), a najprawdopodobniej znajdzie się on i w innych wsiach pobliskich. Innemi słowy w kluczu łąckim niema dlatego rugownika, ponieważ tam każdy z poddanych ma obowiązek donieść o winie sąsiada [2]), we wsiach zaś podgórskich obowiązek ten w pierwszej linii przelany jest na rugownika.

Mówiąc o funkcyonaryuszach gromady, nie można zapominać o wszelkiego rodzaju służbie zajętej w poszczególnych przedsiębiorstwach pospólstwa wiejskiego. Przypuszczalnie służba ta rzadko była obieraną na posiedzeniach gromady, częściej zapewne prawo nominacyi jej przysługiwało wójtowi z przysiężnymi, przy czem oczywiście nie tyle tu chodziło o nominacyę ile o umowę między dwoma kontrahentami, z których jeden t. j. wójt ugadzał poddanego co do obowiązków i wynagrodzenia, drugi oddawał swą pracę gromadzie wzamian za pewne wynagrodzenia. Wypowiadając takie zapatrywanie, nie myślimy jednak zaprzeczać, że tu i ówdzie wobec pewnych korzyści, jakie służba przynosiła, gromada w formie

---

[1]) Ulanowski: „Wieś polska".
[2]) Arch. kraj. w Krakowie, dep. 236, str. 1—2.

obioru wywierała wpływ na ich ustanowienie. Do służby tej zaliczano w pierwszej linii woźnego, który odnosił pozwy, zawiadamiał strony o terminie rozprawy, przedewszystkiem zaś wykonywał najrozmaitsze polecenia wójta. Takiego to woźnego posiadała Kasina Wielka[1]. Takim był Walenty Guzy w Łukawcu[2], Takich wielu wspominają i inwentarze wiejskie. Funkcyonaryuszem gromady był i leśny, o ile tylko gromada jako taka posiadała obszary leśne. Że zaś tak nieraz było, to świadczy o tem przykład Limanowej, która posiadała lasy, wójt miał zas wpływ na obsadzenie funkcyi leśnego[3]. Do służby wiejskiej opłacanej przez gromadę zaliczano zapewno tu i ówdzie polowych, z wszelką zaś pewnością gromadzkich pasterzy, którzy na wspólnych pastwiskach, bydło poddanych wypasali.

Obok tych wszystkich urzędników i funkcyonaryuszów gromadzkich, występują na gruncie wiejskim i dziesiętnicy, chociaż nie we wszystkich wsiach można stwierdzić ich istnienie. W każdym jednak razie znajdują się oni w Kasinie Wielkiej[4] i wsiach klucza suskiego[5]. Stali oni na czele organizacyi dziesiątkowej, na którą się dzieliła gromada i zapewne śladem tej ostatniej urządzali sobie schadzki i pewne sprawy, dotyczące dziesiątka wspólnie załatwiali. Że tak było, to świadczą o tem stosunki kasińskie. Tam to gdy w r. 1649 omawiano w sądzie sprawę Szymona Wrzecionka, który dwór kasiński okradał przez lat 17, to gromada celem postanowienia o losie, podzieliła się na dziesiątki i „wszyscy każdy ze swoim dziesiątkiem z osobna radzili, jako go ukarać, i zdali się na jedno, żeby go każdy z gromady po pięć razy zaciął postronkiem, a potem żeby nagrodził szkody, co przez 7 lat uczynił we dworze kasińskim, potem osądzili, żeby go wygnać ze wsi, aby się więcej nie wracał[6]. Sam jednak dziesiątnik pełnił funkcye głównie nadzorcze, w czem pomagał wójtowi i przysiężnym. On to upomina niemoralnie prowadzące się kobiety, on kontroluje, czy

---

[1]) Ulanowski: „Wieś polska“, str. 24.

[2]) Arch. kraj. w Krak., dep. 236, str. 3.

[3]) Arch. kraj. w Krakowie, dep. 94, str. 210. „Powinien też Urząd Ilmanowski teraźniejszy leśnego Drozdzika y innych na potym będących leśnych, słuszną zapłatą opatrować, tak, żeby ci leśni mieli o czym lasów mieyskich pilnować“.

[4]) Ulanowski: Wieś polska, str. 21.

[5]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 1, str. 245. Widzimy, że we wsiach tego klucza, dziesiętnicy pomagają wójtowi w zwołaniu gromady, chodząc od domu do domu i zawiadamiając o zebraniu.

[6]) Ulanowski: Wieś polska, str. 21.

poddany dobrze gospodaruje. Ponadto pomaga wójtowi w wykonywaniu wyroku, jak to widzimy w majętności suskiej w przypadku Jędrzeja Płanety, którego dziesiętnik upomina, aby się od Iwaniuków z mieszkania wyprowadził, w myśl zapadłego w sądzie wyroku [1]), lub w innym, kiedy to dziesiętnicy pomagają wójtowi wziąć do więzienia skazanych i okuć ich w kajdany [2]). W funkcyi kontroli mieścił się inny obowiązek, o którego wykonanie dwór zawsze energicznie się ubiegał. Chodziło bowiem panu i jego organom o to, aby poddani w swoich domostwach obcych poddanych nie chowali i ich na noc nie przyjmowali, ponieważ z jednej strony narażali się skutkiem pobytu najrozmaitszych zbiegłych chłopów na odpowiedzialność, z drugiej zaś strony nie chcieli wystawiać siebie i pospólstwo na kradzieże. Dlatego to istniał obowiązek ciążący na poddanym, aby o każdym obcym, który u niego przebywał, zawiadamiał dziesiętnika, a nieraz żeby mu go także przedstawił. Obowiązek ten dziesiętników uznaje i Haur, mówiąc: „Maią tedy bydź we wsi według swoich połaci naznaczeni dziesiętnicy, którzyby takowe nocne sowy imali, o nich każdego czasu wiedzieli, y do dwora znać dawali“ [3]). Podobnie w ogólnym obowiązku kontroli mieściła się i inna powinność dziesiętnika, którą zauważamy w kluczu suskim. W tej to bowiem majętności mają oni uważać pod zagrożeniem kary 50 plag, aby poddani należący do ich dziesiątków nie grali w karty [4]).

Nie mamy zamiaru i nie leży to w ramach pracy omawiać funkcye i innych funkcyonaryuszy, jacy działali na gruncie gromady, jak włodarze, gospodarze, dwornicy, karbowi i t. p., ponieważ są to urzędnicy ściśle dworscy. Nie możemy się jednak oprzeć, aby nie wypowiedzieć choć kilka słów o stanowisku sołtysów w organizacyi wiejskiej XVIII. wieku. Nie możemy się oprzeć dlatego, ponieważ dawniej sołtysi ci stali na czele ustroju gromadzkiego. Pod nazwą sołtysów ukrywają się w tym czasie trzy warstwy, z których pierwsza, to dawni sołtysi, którzy jeszcze na Podhalu do tego czasu się utrzymali [5]), obok nich zaś tą nazwą

---

[1]) Rkp. Bibl. ks. Bran., 18, str. 348

[2]) Tamże, str. 360.

[3]) Haur: Ekonomika, str. 257.

[4]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 494 „na dziesiętników w ktoregoby dziesiątku u chłopa znaydować się mieli, a nie doniósł zamkowi plag 50“.

[5]) Bliżej zajmuję się tą sprawą w moim szkicu: Starosta Baranowski a sołtysi i wybrańcy czorsztyńscy w „Rocz. Tow. Tatrz.“ za r. 1913.

określano i wybrańców, określano zaś dlatego, ponieważ sołtysi z dawnego stanowiska utrzymali tylko uposażenie, utraciwszy prawie zupełnie wszelkie inne funkcye, u wybrańców zaś poza obowiązkiem służby wojskowej również cechą charakterystyczną było tylko większe uposażenie gruntowe. Pod nazwą sołtysów ukrywa się i trzecia warstwa, jaką widzimy w kluczu suskim. Zapewne zaś nie inaczej miała się rzecz i w włościach ślemieńskiej i żywieckiej. Sołtysi w tych majętnościach to już urzędnicy dworscy i to urzędnicy mający sobie powierzony nadzór robocizny, za której dobre wykonanie są osobiście odpowiedzialni. Przeciwko nim to i ich nadużyciom wymierzony jest jeden z punktów ustawy Anny Wielopolskiej z r. 1696: „gdyby się pokazało na sołtysa którego, aby się ważył poddanym zaprzedawać roboty, lub przez niedbalstwo jakie przespać i opuścić jej, albo na cudzym gruncie, bądź u siebie, pańskim poddanym robić, takowy winy pańskiej nie przepuszczonej grzywien 10“ [1]). Ponadto mamy ślady, że jako urzędnicy pańscy pomagali przy chwytaniu zbiegłych poddanych, a jako tacy mając dostęp do pana, zostawali nieraz wójtami [2]).

[1]) Chomentowski: Materyały do dziejów robocizny, str. 411—6.
[2]) Rkp. Bibl. hr. Bran., 18, str. 64.

Dr. Józef Rafacz.

(Dokończenie nastąpi).

Dramat w polskiej twórczości ludowej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Struktura genetyczna dramatu ludowego.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ V.

Zawiązki teatru ludowego.

§ 15. Jędzej Kitowicz, w „Opisie obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III.“, wspomniał także wcale obszernie o jasełkach, urządzanych przez księży i zakonników po kościołach.

„Oto dla większego przywabienia ludu do swych kościołów — pisze ksiądz Kitowicz — jasełkom przydali ruchawości, między osóbki stojące mieszając chwilami ruchome, które przez szpary, w rusztowaniu na ten cel zrobione, wytykając na widok braciszkowie zakonni, lub inni posługaczy klasztorni, rozmaite figle niemi wyprawiali.

Tam żyd potrząsał futrem, pokazując je z obu stron, jakby do sprzedania; drugi żyd mu je ukradł, skąd kłótnia wielka, aż żyd skrzywdzony pokazał się z żołnierzami i instygatorem, biorącym pod wartę złodzieja. Gdy taka scena zniknęła, pokazała się druga n. p.: chłopów pijanych, bijących się, albo szynkarkę, tańcującą z kawalerem, albo śmierć z djabłem, naprzód tańcującą, a potem bijące się z sobą i w bitwie znikające.

Tu znowu musztrujący się żołnierze, tracze drzewo trący, i inne tym podobne akcye ludzkie, do wyrażenia łatwiejsze, które to fraszki dziecięce tak się ludowi i młodzieży podobały, że kościoły zapełnione były widzami, podnoszącymi się na ławki i na ołtarz włażącymi.“ [1])

Opis ten ważny jest o tyle, prócz samej istoty swej niezmiernie cennej z punktu patrzenia porównawczego na współczesne widowiska ludowe, iż stwierdza fakt, że jeszcze przed mniej więcej 150 laty zwyczaj urządzania jasełek, czy szopek. pozostawał w ręku kleru i duchowieństwa zakonnego, przyczem zgoła nie mamy pewności, a nawet trudno o przypuszczenie, jakoby lud w własnym zakresie urządzał te widowiska.

Widzimy więc. jak niepewnem jest łączenie dawnych misteryów o Bożem Narodzeniu z współczesnymi zabytkami teatru ludowego.

Niemniej jednak zwyczaj ów przedstawień maryonetkowych. tak ludowi miłych, przyjął się wśród szerokich warstw włościańskich. choć, co prawda, dzisiejsza szopka niewiele się różni w ogólnym zarysie od owych przedstawień jasełkowych za czasów Augusta III.

Postacie. wspomniane przez Kitowicza, czy żyda, lub chłopów pijanych, śmierci i dyabła, czy żołnierzy i t. d., tudzież ta akcya typowa bójek. kłócących się dwu osób, lub tańców na scenie — wszystko to są nieodłączne akcesorya szopki współczesnej, która, jak przypuszczamy, przyjęła w spadku po widowiskach kościelnych tematy do przedstawienia, a nawet pewien szablon dyalogów i śpiewów, przekazywanych tradycyjnie z ust do ust, przechowywanych w pamięci ludu zapewne przez dawnych „reżyserów“ widowisk kościelnych, którzy umiejąc wszystkie pieśni i rozmowy na pamięć, byli też nauczycielami późniejszych pokoleń w owej sztuce „szopkowej“.

Indywidualność twórcza poszczególnych okolic wyraża się we włączaniu w teksty szopek, czy herodów, postaci, z realnego życia wziętych, tudzież rozmów i śpiewów, świadczących najzupełniej o swem pochodzeniu z duszy ludu.

Trzeba rzecz jedną określić w tym teatrzyku ludowym: podstawową formą jasełek jest: „szopka“ i t. zw. „herody“. W pierwszej typowe są maryonetki, odpowiednio ukostyumowane, których

---

[1]) Por. prof. W. Bruchnalski: „Z dziejów teatru ludowego“, I. (Poradnik teatr. i chórów włość., 1913).

zjawienie się na scenie ilustruje specyalny „dyrektor", ożywiający martwe lalki głosem „udanym". Lalki przesuwające się występują na tle właściwej szopki, czyli stajenki, w głębi której przylepione są jasełka, wycięte z obrazków, kupowanych na straganie lub w sklepiku. W najwspanialszej szopce zamiast jasełek są lustra w ramach z zapału. Jasełka, bardzo zręcznie wyrobione z drzewa, papieru, gałganków, mchu i laleczek porcelanowych, mieszczą się na piętrze po za zielonemi szybkami. [1])

Właściwy teatr ludowy stanowią „herody". Tu już sami chłopcy wiejscy, poprzebierani w kostyumy i odpowiednio ucharakteryzowani, odgrywają swe role wedle tradycyjnego tekstu. Niejednokrotnie „herody" te są także przemienione w lalki, a miast aktorów recytuje role przesuwających się łątek jeden z inscenizatorów. W całym tekście tak szopek, jak i herodów, są pewne szablony stałe, nie ulegające żadnym modyfikacyom: to właśnie ta liturgiczna gra, oparta na wątku tradycyjnym. Ona stanowi szkielet niezmienny widowiska: zawarta niejednokrotnie w dwu lub trzech scenach, powtarza się niemal w dosłownych dyalogach tak w szopkach, jak i w herodach.

Jest to scena z Herodem. Istnieje ona jako część składowa każdej szopki, a tembardziej herodów. Powiedziećby można, że herody są zabytkiem wcześniejszym, w którym twórczość ludowa nie zaznaczyła swego indywidualnego piętna, lecz przechowała ślady dawnego misteryum Bożego Narodzenia niemal bez zmiany.

W „herodach" powtarzają się te same osoby wedle stałego szablonu. Stosownie do rozciągłości samego widowiska, więc do ilości scen, zwiększa się też ilość osób, ale postacie te nie mają w sobie żadnych cen indywidualnych. Niezbędnemi są osoby: 1) heroda, 2) hetmana, zwanego zwykle Feldmarszałkiem, 3) rabina czyli żyda (postać komiczna), 4) śmierci i 5) dyabła. Postać żyda daje zwykle najwięcej sposobności do wstawek komicznych i ona jedna w herodach ulega pewnym modyfikacyom.

Zespół tych pięciu osób jest zrębem scenicznym każdego widowiska jasełkowego, czy szopek, czy herodów. Zachodzi jednak zasadnicza różnica między herodami a szopką: „herody" mają ściśle ograniczoną akcyę, wyrażoną przez ensemble wspomnianych pięciu osób, które nieraz rosną do liczby większej, mimo to nie rozszerzając właściwej akcyi. Akcya ta znana obejmuje zwykle ten tylko zakres: Herod na tronie każe feldmarszałkowi zawołać żyda;

[1]) Jastrzębowski: „Szopka radomska". Wisła, t. VIII.

ten oznajmia narodzenie Chrystusa w Betlejem, Herod nakazuje wymordować wszystkie dzieci, wtedy zjawia się Śmierć i ścina kosą głowę Heroda, a dyabeł porywa go do piekła.

To jest treść fabularna wszystkich herodów — i czy widowisko będzie, miało 8 scen, jak w herodach w Łukowie [1], czy 7, jak w herodach lubelskich [2], lub 12, jak w „Królu Herodzie" z powiatu ropczyckiego [3], — nie zmieni to i nie rozszerzy podstawowej akcyi, co najwyżej bardzo nieznacznie, a osoby-aktorowie w liczbie trzynastu, występujący w ostatniej z wymienionych sztuk, mają znaczenie tylko dekoratywne, bo miast owych pięciu, zjawia się tu obok feldmarszałka dwóch ministrów, anioł, większa ilość dyabłów, a ukazywanie się Trzech Króli, albo Józefa, adjutantów, czy dziada na końcu, to albo rozszerzenie herodów w widowisko Trzech Króli, albo nieznaczne tylko rozwałkowanie tekstu, które w zasadzie działania naprzód nie posuwa. Jak łatwo poznać, w herodach twórczość ludowa nie dochodzi niemal wcale do wyrazu. Drobnymi tylko rysami indywidualnymi opatruje lud postać żyda, lub dyabłów, albo śmierci, zresztą jednak tradycyjne te widowiska nie wychodzą po za wspomniany szablon akcyi, postaci i dyalogów.

Skoro więc przypomnimy sobie, że łaciński dramat liturgiczny składał się zawsze z następujących 7-miu scen:

1. Przesłuchanie Mędrców ze wschodu. Herod wzywa ich, by w powrotnej drodze doń wstąpili.
2. Należąca do pierwszej sceny, scena z posłem.
3. Scena z uczonymi w Piśmie św.
4. Druga scena z posłem.
6. Wiadomość o zniknięciu Magów. Gniew Heroda. Narada. Rozkaz rzezi niewiniątek.
6. Wykonanie rozkazu.
7. Śmierć Heroda. [4]

to stwierdzimy fakt, iż nasze „herody" przechowały niemal w całości schemat owych widowisk liturgicznych, które niegdyś Kościół wystawiał po kościołach i klasztorach.

---

[1] Wisła, t. VI. Podał Zyg. Wasilewski.
[2] Wisła, t. X.
[3] Zbiór wiad. do antrop,, t. XIV.
[4] Por. dr. A. Fischer: „Polskie widowiska ludowe". (Por. chórów i teatrów włośc., 1913, Nr. 2).

§ 16. Szopka, czyli jasełka są już wyższem stadyum rozwojowem dramatu. Wprawdzie i tu w każdej szopce znajdziemy ślad sceny z Herodem, więc dowód związku z dawnym dramatem liturgicznym, tylko, że ów wątek herodowy został w szopce zredukowany do minimum, że n. p. w „Szopce siedleckiej“ [1]), zawierającej scen 18, w czterech tylko (8—11) znajdujemy te resztki liturgicznego przedstawienia, wszystkie zaś inne mają już charakter najzupełniej świecki. Podobnie w szopce z Woli Gułowskiej [2]), dwie tylko na piętnaście przedstawiają Heroda, tak samo w szopce łowickiej [3]), w innych tylko jedna [4]), lub więcej. ale przy przewadze zupełnej scen świeckich.

I tu więc na tym przykładzie możemy się przyjrzeć szczegółowo procesowi zeswietczania się liturgicznego początkowo widowiska, przyczem odgrywa rolę wybitną indywidualizm twórczy poszczególnych środowisk, pośród których szopki te się wytworzyły.

Po za omówionym już motywem „herodowym“ interesuje nas właśnie cały ten barwny tłum osób, który lud zaprosił do swej szopki, poubierał w łachmanki i szych, z najprymitywniejszej rekwizytorni ludowej zaczerpnięty, i mówić im kazał ustami inscenizatora, udanym głosem imitującego, czy Polonusa w żupanie, czy księdza Bernardyna, Węgra, cygana, szlachcica, lub kozaka, i cały ten szereg osóbek śmiesznych, lalek komicznie wystruganych, poruszających się w dygach i ruchach drewnianych.

A tłum aktorów sproszonych na widowisko niemały. Zbiorowa twórczość ludu brała szereg postaci z realnego życia, w dowolnym szeregu nizała je na kanwie tekstu widowiska. Podtrzymywane na patykach i kierowane dłonią pokazującego ukazywały się zwykle dwie laleczki. a oddeklamowawszy swoje słowa w dyalogu, znikały wnet, ustępując miejsca nowym postaciom, które silniej wrażały się w wyobraźnię ludu i utrwalone na scenie, tworzyły aktualny zespół sceny teatru ludowego.

I w tym dramacie jasełkowym są pewne wątki, wspólne wszystkim niemal szopkom. Zwrócił już na to uwagę Szczęsny Jastrzębowski przy omawianiu podanej przez się „Szopki radomskiej“ [5]). Na podstawie znanych mu tekstów, przez etnografów za-

---

[1]) Wisła, t. VI.
[2]) Wisła, t. VI.
[3]) Wisła, t. VII.
[4]) Wisła, t. X.
[5]) Wisła, t. VIII., str. 300.

pisanych, w liczbie 10, szopek ludowych, określił on pięć zasadniczych motywów, powtarzających się w każdej niemal szopce. Są to: 1) sceny z pasterzami (tu zwykłe osoby: dwóch chłopów-pasterzy, żyd-cyrulik [nieraz Węgier z olejkami] i pachołek, nieraz ekonom lub policyant); 2) scena z żydem (żydówką), o motywie niemal wyłącznie komicznym; 3) scena z druciarzem lub góralem, przytem jakaś postać kobieca: 4) scena dyabła z czarownicą (również szczątki intermedyum komicznego); 5) scena huzara (kozaka) z Małgorzatką, będąca zawiązkiem właściwego dramatu o wątku świeckim.

Poznanie znaczniejszej liczby tekstów szopkowych, ogłoszonych później po napisaniu artykułu przez wspomnianego autora, bynajmniej nie zbija trafności tego spostrzeżenia. Jest to zatem rzecz stwierdzona, że w szopkach ludowych, w których tekst jest pamięciową własnością pewnej ilości ludzi, inscenizujących te widowiska, istnieje również jakiś stały schemat akcyi i postaci, który w głównych liniach stanowi zawiązek każdej szopki. Prócz wspomnianego motywu „herodowego“ ową stałą akcyę stanowi nadto pięć powyżej zaznaczonych wątków. Moglibyśmy nadto wspomnieć o wątkach często się powtarzających, jak Cygana z niedźwiedziem [1], Krakowiaka i Krakowianki [2]) i innych.

Po za sferą tych postaci, wspólnych poniekąd całemu ludowi, istnieje nadto szereg typów, specyalnie w pewnych okolicach wytworzonych, które są przykładem lokalnej inwencyi ludowej w rozszerzaniu tekstów zwykłych przez osoby nowe, zbogacające repertuar widowisk tego rodzaju. Charakter tych postaci przeróżny. Będzie to raz grabarz i kominiarz, jak w „Szopce siedleckiej“, to znów ułan i saper, lub Twardowski, czy górale z „Szopki krakowskiej“ [3]).

W innej znów szopce spotykamy typy wiejskie, jak „tęga dziewa“ i parobczak, lub dziewczyna wiejska i ekonom, to znów stanie przed nami dwóch wędrowców, zwanych „puery“, ślad dawny scholarów wędrownych, a obok nich szewczyk, lub dwóch Turków, i znów „gruby pan“ i Niemiec [4]).

---

[1]) W „Szopce siedleckiej“, Wisła, t. VI.; w „Szopce z Woli guŁowskiej“, ibid.: w „Szopce krasnostawskiej“, Wisła, t. X.; w „Szopce w Krakowskiem“, Kolberg: Lud, Ser. V. i i.

[2]) W szopkach: siedleckiej, lubelskiej, Wisła, t. X.; krasnostawskiej, kaliskiej, Wisła, XVII.; w Łomży, Kolberg: Mazowsze, t. V. i in.

[3]) Tygodnik ilustr., 1862, t. V.

[4]) „Szopki i herody w Lubelskiem“, Wisła, t. X.

Nie wyliczyłby tych wszystkich: szewców, Mazurów, szlachciców, żołnierzy, kupców, księży, krawców, bednarzy i innych pajaców, którzy umiłowani u ludu przez swą komiczną groteskowość, przesuwają się po wązkiej scence ludowych jasełek, bawiąc widzów niepomiernie, jak za dawnych czasów, gdy ci na widowiskach podobnych w kościele na ławki się podnosili i na ołtarze włazili.

§ 17. Zatem drogą kościelnych widowisk, czy dawnych wielkich misteryów, lub też pośrednio przez jasełka kościelne, doszedł lud do wytworzenia sobie nowej formy dramatycznej, wyrazonej w szopkach i herodach[1]). W tych dwu rodzajach teatru ludowego, a zwłaszcza w szopce, jak to wykazaliśmy, dochodzi twórczość ludowa na terenie scenicznym do najpełniejszego wyrazu.

Powtarza się tu w kreacyi jasełek analogiczny proces rozwoju widowiska scenicznego. Możemy tu powtórzyć dosłownie nasze określenia w trzecim rozdziale pracy o linii rozwojowej dramatu, — i tu z obrzędu rytualnego, przechowanego jeszcze dosłownie prawie w herodach, przechodzi linia rozwojowa w stadyum wyższe s z o p k i, a emancypując się kolejno z pod zależności od swego źródła, traci sztywność suchego tekstu liturgicznego, a dąży energicznie do wyeliminowania z widowiska pierwiastków ściśle obrzędowych (liturgicznych), a zastąpienia ich osnową świecką, m y t h e m, czyli fabułą widowiska na większą skalę.

Rozszerzanie się tekstu szopek za pomocą wstawek świeckich, śledziliśmy powyżej, zaznaczając zwężanie się w nich motywu herodowego, jako szczątkowej formy dramatu liturgicznego, na korzyść postaci świeckich i związanej z niemi akcyi. Wymienione jednak postacie mają w dramacie szopkowym charakter e p i z o d y c z n y; nie łączą się w jedną akcyę zbiorową, związaną ideą dramatyczną, o czem jeszcze wspomnimy poniżej.

Chcemy jednak z naciskiem podkreślić fakt pierwszorzędnej wagi, iż szopka ludowa, wytworzywszy swoistą f o r m ę dramaty-

---

[1]) Pomijamy tu szereg innych widowisk scenicznych pośród ludu, najczęściej w s z c z ą t k a c h zachowanych, jak „Gregoły" (Zbiór wiad. do antrop., t. XIII.), wątki misteryum rajskiego (Wisła, t. X.; Zbiór mater. do antrop., t. VI.; Lud, t. X.), wątki misteryum o Abrahamie (Wisła, t. X.; Zbiór mater. do antrop., t. VI.), zwyczaj chodzenia z „dorotą" (Lud, 1903, 1910), wątki misteryum o Męce Pańskiej (por. Windakiewicz, l. c., rozdział V.), tudzież inne zwyczaje w czasie Wniebowstąpienia, Zielonych Świąt i Bożego Ciała, zestawione w ogólnym zarysie dr. A. Fischera: „Polskie widowiska ludowe" (Por. chórów i teatrów włośc., 1913).

czną, poczyna w nią wlewać w dalszym rozwoju treść dramatyczną, niezależnie od tamtej, w zbiorowej duszy ludu zrodzoną, ów mythos, stający się w każdym dramacie czynnikiem decydującym w kreacyi właściwego dramatu scenicznego. Mythos ów, to cały skarb poezyi, jako wykwit zbiorowej produkcyi ludowej, znajdujący wyraz tak w liryce, jak w epickiej twórczości ludowej owych podań, gadek, opowieści, legend, bajek etc., w których zawarty materyał o dramatycznym pierwiastku[1]), wciąga lud do twórczości scenicznej, rozszerzając w ten sposób szopkę w dramat ludowy.

Weźmiemy tu pod uwagę jako przykład dwie szopki: 1) szopkę radomską i 2) z Woli Gułowskiej, w których odnajdziemy te typowe ślady wchłaniania przez teatr ludowy motywów z poezyi ludowej o elemencie dramatycznym.

Szopka radomska[2]) składa się z trzynastu scen, z których trzy pierwsze to ów typowy wątek z pasterzami (Ambroży—Wojciech), co pobiwszy się, idą do cyrulika po poradę, aż ich trzech strażnik bierze do kozy. Scena następna ukazuje widzom Druciarza, czyli Węgra wędrownego, postać typową w repertuarze szopkowym. Rzeczą charakterystyczną jest śpiew monologowy druciarza, zaczerpnięty z poezyi ludowej, pełen sentymentu lirycznego:

Za lasami, za górami
Stoi mała chatka,
Tam ze trzema siostrzyczkami
Mieszka moja matka.
Wszystkie trzy mnie uścisnęły,
Gdyżem miał porzucić,
Wszystkim trzema łzy stanęły —
Jakżeż się nie smucić.[3])

Po monologu tym następuje zwykły dyalog z żoną druciarza, Jagolą, poczem znów śpiewki druciarza. Po tej scenie ukazuje się żyd i Sara, rodzaj intermedyum komicznego, poczem widzimy znów Jasia i Kasię. W tej scenie spotykamy już piosnkę ludową w dyalogach, którą śpiewają obie postacie na przemiany:

---

[1]) Zwrócić należy uwagę na analogię w tym razie z epopeją Homerycką, która *in crudo* zawiera w sobie całą późniejszą tragedyę grecką.

[2]) Wisła, t. VIII.

[3]) Por. Kolberg: Mazowsze, I., str. 80, Nr. 3.

Kasia:
W zielonym gaiku
Ptaszkowie śpiewają,
Już mego Jasienia
Na wojnę wołają.
Wsiadaj Jasiu, wsiadaj,
Konik osiodłany,
Komuż mnie zostawisz
Mój Jasiu kochany?...

Na to odśpiewuje Jaś:
Zostawiam cię Temu,
Który jest na niebie,
A za rok, za dwa
Powrócę do ciebie.

Po tej odpowiedzi spotykamy strofę o charakterze epickim, która mówi, iż rok już minął. na drugi się toczy. a Kasia zapłakała oczy. Wtedy Kasia odśpiewuje:

Zapłakałam ocy,
Bom ich zapłakała;
Malowane ściany,
Bom ich malowała.[1])

Trzeba zwrócić uwagę na to, iż pieśń, w dyalogu spiewana, jest początkiem dłuższej spiewki, kryjącej w sobie wybitne cechy dramatyczne. Wątek ów rozwija się w dalszym ciągu w ten sposób, iż dziewczyna, w pięknym chłopcu zakochana, codzień wychodziła na wzgórze za wsią, oczekując swego miłego, co poszedł na wojnę, aż pewnego dnia wracają żołnierze z wojny i „grają Jasiowi marsz pogrzebowy“ [2]). Wprawdzie w tekście cytowanej szopki nie spotykamy rozprowadzenia całego wątku tu podanego, niema jednak wątpliwości, iż motyw ten dramatyczny wchodził do tekstu, nieśmiało zrazu, jako zawiązek akcyi dramatycznej.

Podobny wypadek zachodzi w dalszej scenie omawianej szopki, w której występują: Huzar i Małgorzatka. Śpiewka, przez nich śpiewana, znana bardzo pośród ludu:

Za górami, za lasami
Tańcowała Małgorzatka z huzarami
Przyszedł ojciec, przyszła matka:
— Pójdź do domu Małgorzatka!
— Ja nie pójdę, idźcie sami,
Wolę hulać z huzarami.[3])

---

[1]) Por. Kolberg: Sandomierskie, str. 157.
[2]) Materyały do antrop., t. X., str. 177.
[3]) Kolberg: Mazowsze, I., str. 86.

Nieskończony i tu wątek dramatyczny, zaznaczony tylko w dyalogu, łączy się w dalszym ciągu treści z piosenką o nieposłusznej córce, której cnota ucierpiała na tych tanach, iż po pewnym czasie zbyt były wyraźne owoce tej niewinnej zabawy.

Z dalszych scen tylko w 12-tej spotykamy śpiewki ludowe, ilustrowane weselem krakowskiem.

Na podobne rozszerzanie tekstu szopkowego chcemy jeszcze zwrócić uwagę w szopce z Woli Gułowskiej[1].

I tu pomiędzy sceny typowe, jak z marszałkiem, druciarzem, czarownicą i dyabłem, przewodnikiem z niedźwiedziem i t. d., wchodzi niespodzianie nowa scena (VI.), będąca udramatyzowaniem pieśni ludowej o nader wybitnym wątku dramatycznym: jest to piosenka o majtku (żeglarzu), co puścił się na morze, zostawiwszy w domu przez trzy lata żonę, „piękniejszą jak zorze". Gdy po trzech latach powrócił do domu, zastał żonę z dzieckiem na ręku.

W szopce majtek ów sam śpiewa tę część informującą, iż wyjechał na morze i zostawił żonę w domu. Naraz spostrzega żonę na progu nowego domu. W dyalogu pyta się, czyj ten dom. Żona odpowiada, że Pan Bóg dał. Naraz wchodzi mamka z dzieckiem na ręku. Na pytanie męża, czyje to dziecko, żona odpowiada naiwnie, że Bóg nieraz robi cuda. Wtedy majtek ją bije i odchodzi.

Moglibyśmy przytoczyć dalsze jeszcze wstawki dramatyczne w tekstach szopek. Na przytoczonych jednak przykładach mamy dostateczny dowód, jak lud własną twórczością począł ożywiać formy przyswojonego przez się widowiska, rozwijając je za pomocą drobnych, udramatyzowanych epizodów, opartych na treściowym materyale poezyi, zrodzonej w zbiorowej duszy gromad wsiowych.

§ 18. Tak zrealizowało się wtórne kształtowanie przez lud formy dramatycznej. Po zaniku śladów dawnych widowisk pierwotnych, lud wchłonął w siebie sztucznie wytworzoną formę misteryum, a przetworzywszy ją na obraz i podobieństwo swoje, począł doskonalić tę scenkę szopkową, przystosowując ją coraz bardziej do warunków realnego życia, z ograniczeniem kolejnem nieaktualnych już jakby wątków liturgicznych.

Twórczość ludu objawiać się teraz poczęła w oryginalnem stylizowaniu swego teatrzyku. Nie odbywa się to bez pewnych wpływów tradycyjnych. Niektóre postacie weszły już w krew i kość ludu z czasów przedstawień misteryów kościelnych — i one powtarzać się będą jako akcesorya niezbędne w wiązadłach widowisk.

---

[1]) Wisła. t. VI.

Lecz obok tego zgoła samorzutnie pracuje talent reżyserski wiejskich inscenizatorów w tym kierunku, by zasilić scenę szeregiem osób nowych, pełnych życia i rozmachu, w miarę wesołych i komicznych, to znów szczerze sentymentalnych, lecz zawsze prawdziwych, realnych. Podkreślamy ów realizm w twórczości scenicznej ludu, bo będziemy mieli sposobność później jeszcze doń powrócić. Jest to zresztą cechą typową w każdej poezyi ludowej, nie tylko specyalnie naszej.

„Lud, co się męczy w codziennej pracy, by przejść przez życie, spotyka wkoło siebie wciąż taką samą miłość i radość, jak gniew, zazdrość, nienawiść i chytrość. Wszędzie istnieją owi grubi, brudni, głupi, kłótliwi chłopi, upadłe dziewczęta, niewierne żony i oszukani małżonkowie, dumni panowie, gardzący biednym gminem, chełpliwi żołnierze i lubiący trunek parobcy, rzemieślnicy z ich fachowemi właściwościami, wszędzie panuje ta sama mizerya. Z tego ubóstwa wyłania się dla ludu wszędzie podobny humor, który go skłania do tworzenia sobie podobnych, pysznych, burleskowych typów, swoich ulubionych pajaców, co mu życie rozweselają. Gdy ci jawią się przed ludem na scenie, wtedy kończy się jego nędza, z radością klaszcze on w dłonie i wybucha szalonym śmiechem, co przygłusza wszelki jęk bolu.“ [1])

Oto mamy dosadną charakterystykę ludowego teatru, mimo, że nie opartą wcale na znajomości naszych zabytków, a jednak tak trafną w odniesieniu do postaci naszej sceny ludowej, tak niemal wyczerpującą.

Lud nasz dochodzi zatem w ostatecznym rezultacie do skonstruowania oryginalnej formy dramatycznej, wyrażającej się w maryonetkowych przedstawieniach, w której podstawową rolę odgrywa dyalog. Dyalog ów otrzymał nawet utartą nazwę: jasełkowego. Jest też cechą typową ludowego teatru, że te dyalogi, czy sceny, nie łączą się niemal wcale w pewną ideową linię akcyi, lecz są luźnem zlepkiem fragmentów scenicznych, które poprzestawiane w innym porządku, wcale nie straciłyby na wartości i nie złamały jednolitości konstrukcyi. Jest to więc jeszcze nie dramat w technicznem tego słowa znaczeniu, lecz szereg scen epizodycznych, tworzących zawiązki właściwego widowiska.

Formę ostatecznie wytworzył lud i w formę tę, jak widzieliśmy, począł wlewać treść dramatyczną, jako osnowę sztuki. Treść ta, to cały materyał twórczy poezyi ludowej. Z tego mate-

[1]) Reich: „Der Mimus“, B. I. (Berlin 1903), str. 47.

ryału poczęto czerpać, jak to widzieliśmy w dwu szopkach omówionych, dążąc w ten sposób do dalszej ewolucyi w widowisku scenicznem.

Sądzimy, iż w tym momencie doszła twórczość sceniczna naszego ludu do zenitów konstrukcyjnych. Ponad nie nie wzniósł się teatr ludowy [1]).

Skarb poezyi ludowej o pierwiastku dramatycznym, jednem słowem ów *mythos* dramatyczny, stworzony w produkcyi ogólnej umysłowej ludu, nie doszedł w całości do wyrazu w teatrze, czy dramacie ludowym. Nie został wypowiedziany w *słowie i geście* aktorskim.

Tkwi on niby ów skarb zaklęty w bezdennem morzu ludowej twórczości.

Czas najwyższy wydobyć go na światło dzienne.

[1]) Ogłoszony przez K. Mátyása (Wisła, t. I.) „Dramat gminny polski“ (Kolęda), jako tekst widowisk w Sosnowicach, jest przecież tylko nieco rozszerzonem przedstawieniem szopek i betlejek ludowych.

Dr. Adam Brzeg-Piskozub.

(Koniec części pierwszej).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika literacka.

ALEKSANDER BRÜCKNER: Mitologia słowiańska. Kraków 1918. 8°, str. 152.

O mitologii słowiańskiej mieliśmy przez długie czasy zupełnie fałszywe pojęcie. Olimp słowiański był bardzo obficie zaludniony, ale mylnie. Tym, który tak energicznie przez szereg lat wypędzał samozwańczych bogów, był prof. Brückner. Najpierw w „Archiv f. slavische Philologie“, a później w rozprawie o mitologicznym świecie staro-słowiańskim, pomieszczonej w Encyklopedyi, wydawanej przez krakowską Akademię umiejętności. Robiono niejednokrotnie, może nawet częściowo słuszne zarzuty, że prof. Brückner obalił wszystkich bogów słowiańskich, nie stwarzając atoli żadnych pozytywnych danych w to miejsce. Obecnie zarzuty te wszystkie upadają wobec wydanego właśnie szkicu o Mitologii słowiańskiej, w którym nietylko obalono dotychczasowe mylne hypotezy, ale stwierdzono też istnienie pewnych bóstw, znanych dawnym Słowianom.

Autor wytknął swym badaniom dwa cele; najpierw wyjaśnia, o ile to możliwe, same nazwy bóstw słowiańskich. W tym celu posługuje się stale etymologią, ale zawsze z wielką ostrożnością. Obok tego stara się prof. Brückner rozgraniczyć to, co rodzime, pierwotne, istotne, od tego, co obce, późne, zmyślone, aby nazw topograficznych, albo wykrzykników, czy też zmyśleń XV.—XVIII. wieku nie przemycano do Olimpu słowiańskiego. Po trzecie kusi się dzielny uczony polski o własne kombinacye. Z drobnych okruchów i urywków odtwarza pierwotną ich formę. Nowością tych domysłów przedewszystkiem znaczne uwzględnianie mitologii litew-

skiej, konieczne, bo Litwini i Słowianie to bliźniacy, więc przez zestawienie okruchów słowiańskich i litewskich oba rzędy zyskują na wyrazistości. Na jakich atoli źródłach w tych dociekaniach możemy się oprzeć?

Pominąwszy to, co o mitologii nadodrzańskich Luciców i Pomorzan piszą, względnie przekręcają źródła niemieckie i duńskie, pozostają nam materyały polskie i ruskie. Późne uczone domysły polskie trzeba pominąć, więc pozostają nam jedynie ruskie, a mianowicie:

1. Wzmianka u Nestora, że Włodzimierz, objąwszy po Świętopełku rządy, wystawił posągi bogom swoim. Kronikarz ruski wymienia tych bogów i o Perunie podaje nieco szczegółów, oraz zaznacza, jak to w chrześcijańskim Kijowie i Nowogrodzie posąg jego zrzucono; także w umowach trzech książąt kijowskich Olega, Igora i Świętosława z Grekami wspomina bogów, jakich na umocnienie tych umów posłowie książęcy na obczyźnie, czy Igor z drużyną w Kijowie używali.

2. Niemal we dwa wieki później trzech z tych bogów „Nestorowych“ wymienia Słowo Igorowe, dodając kilka drobnych, dość wątpliwych szczegółów.

3. Posiadamy kilka pomników kaznodziejstwa staroruskiego w późnych, jak zawsze na Rusi bywa odpisach XIV. do XVII. w., sięgających jednak XI., a zawierających obok nazwisk Nestorowych kilka innych i kilka szczegółów kultowych.

4. Odnaleziono w staroruskim odpisie cerkiewnego, t. j. starobułgarskiego tłumaczenia greckiej kroniki Malali, i w opartym na tymże tekście ustępie kroniki hypackiej glosy staroruskie mitologiczne do tekstu greckiego o Hefeście i Heliosie.

Ustępy te rozważano i rozbierano oddawna, rozmaicie się jednak na nie zapatrywano, posuwano się zbyt daleko w dowierzaniu im, albo też oceniano je zbyt sceptycznie. Wywody swe rozpoczyna prof. Brückner od krytyki dotychczasowych zapatrywań na Peruna; przeprowadza autor przedewszystkiem wywód słowny samego wyrazu. Zdaniem jego pierwotna forma była *Perkyn*, z czego powstało później *Peryn*, a wreszcie *Perun*, a Perkyn—Perkunas oznaczał zapewne wspólną nazwę Litwinom i Słowianom na określenie dębu. Perkyn—Perkunas byłby więc „Dębowcem“ od pierwotnej nazwy dębu perkus *(quacus)*. To złączyło się z czasem z piorunem i oddziałało na pierwotnego litwo-słowiańskiego Perkyna—Peryna jeszcze w dobie prasłowiańskiej, i w taki sposób przemyciło się do Olimpu słowiańskiego, gdzie jednak dla zbyt

dotkliwego z samem zjawiskiem atmosferycznem spojenia ustępowało innym, nowym wyobrażeniom mitycznym, a tylko na Rusi, dzięki wpływowi normańskiego Thora, wydostało się na pewien czas ponownie na szczyt Olimpu.

Nestorowy kanon bóstw Włodzimierzowych nie wymienia Swarożyca, lecz Dażboga, o którym glosa ruska u Malali twierdzi, że był synem Swarogowym, Swarożycem. Można ustalić, że mamy tu ciekawy i ważny mit słowiański, a nawet litwo-słowiański o bogu słońca i ognia. Obok tego da się stwierdzić ważny i ciekawy fakt zgody ruskiego Dadźboga-Swarożyca ze Swarożycem tatarskim. Słońce-Dadźbóg jest więc głównem bóstwem słowiańskiem, odczepionem już od samej przyrody, nie prostem tej przyrody uosobieniem; dowodzi, że Słowianie podnieśli się wyżej po szczeblach rozwoju wierzeniowego. Brückner wychodzi z założenia, że Swarog, to nie wymysł kronikarski tylko, lecz mit istotny, że to kowal boski Hefajst słowiański, podobnie jak Daćbog jest Heliosem słowiańskim. Wobec braku źródeł trudno natomiast rozgraniczyć działalność Daćboga-Swarożyca, a pierwotnego Perkyna. W każdym razie można Swarożyca-Daćboga wysunąć na samo czoło mitów słowiańskich, a zgoda co do samej formy imienia Swarożycowego nad Dnieprem i za Odrą jest najwymowniejszym dowodem identyczności wierzeń słowiańskich, a zarazem odprawą dla tych, coby przynajmniej dla wschodu słowiańskiego z wpływami irańskiego kultu ogniowego się liczyli. Kult ogniowy jest litwo-słowianski i obok kultu Perkunowego drugi najważniejszy spólny wytwór; że się nazwy później rozeszły, na Litwie bóstwo, jak i inne, bardzo zróżniczkowało, nic to nie przeczy powyższemu twierdzeniu.

Obok Peruna stawiali Niederle i Janko Welesa-Wołosa jako boga „bydlęcego“. Trudno to przypuścić wobec danych, że Ruś nań uroczyście przysięgała. Określając Welesa, opiera się Brückner o litewskie weles i welinas, o rusko-słowiańskie używanie jego przy przysiędze uroczystej, i uznaje w nim boga, dziedziny dusz i przodków zmarłych, słowiańskiego Plutona czy Hadesa, nie pod ziemią, lecz gdzieś na zachodzie, za morzem przebywającego.

Podobnie należy zaliczyć do Olimpu ogólno-słowiańskiego Mokosz, Chorsa, Rgła i Sima, natomiast Stribogowi i Perepłutowi odmawia autor dawności i ogólności cech; są to bożki specyalnie ruskie o zupełnie odmiennym charakterze.

Wprawdzie zapowiedziano we wstępie, że samego folkloru nie będzie autor poruszał, nie chcąc plątać rzeczy dawnych, pogańskich i nowych, napoły chrześcijańskich, ale dla wyczerpania materyału

„mitycznego“ źródeł staro-ruskich wspomina o bóstwach poza kanonem Włodzimierzowym, nie czczonych uroczyście, ale ważnych w obchodzie codziennym. Omówiono też pokrótce także rodzanice, brzeginie, wiły, rusałki i marki. Rodzanice są to istoty, stanowiące o przyszłym losie noworodka, z czem łączy się pytanie o pojęciach słowiańskich o przeznaczeniu-doli i trafie-szczęściu. Wiły i brzeginie należą do kultu wody, rzek, źródeł, lasów i gór. Tak więc przy sposobności mitologii poruszono wiele kwestyi z dziedziny niższej demonologii, z której wynikły dopiero późniejsze wyższe personifikacye. Wiadomości o tych bóstwach niższego rzędu czerpie autor z kazań staro-ruskich, w których można spotkać także wiele szczegółów obrzędowych.

Badania prof. Brücknera prowadzą do bardzo wielu zupełnie nowych wyników; dowiadujemy się, że nie wizerunek bogini prowadził szeregi lucickie do boju, lecz raczej stanica, t. j. chorągiew, od stanu i namiotu nazwana; na murach świątyni radgoskiej nie postaci bogów wyrzeźbiono i pomalowano, lecz najrozmaitsze zwierzęta, ptaki i t. p.; usunięto bajki o bogu Radgostu, równie jak niesłyszanego nigdy bożka Pripegala, odnalazłszy w nim dobrze znanego Trzygłowa, a obok tego także szczegóły Helmoldowe o bogu najwyższym, o genealogicznych z nim związkach innych bogów, o czarnym bogu (dyable), jako naleciałości chrześcijańskie. Wogóle o ile jednak nazwy staro-słowiańskie mają nawet starożytną nazwę, o tyle zupełnie nowożytnie brzmią nazwy pomorskie i sugijskie. Trzygłów, Swiętowit i wszystkie inne na *wit*, które Brückner objaśnia jako formy przymiotnikowe od przymiotników: święty, jawy, wujewy, a więc świętoisty, jawisty, podobnie jak chorowity, słabowity od chory, słaby i t. d.

Przy ciekawem współżyciu pogaństwa obok chrześcijaństwa, wrogiem jak u Słowian nad Bałtykiem, spokojnem jak na Rusi i na Bałkanie, nie obeszło się w końcu bez wpływów wzajemnych. N. p. w mitach o brzeginiach, wiłach, rusałkach pojęcia chrześcijańskie wystąpiły wcale silnie, co także zauważyć można i w innych wyobrażeniach mitycznych, jak skrzatki, topielcy, może nawet południce i t. d. W całości dane wyobrażenia mitologiczne słowiańskie dadzą się przedstawić więc nie w formie jakiegoś systemu monoteistycznego z naczelnem bóstwem jakiemś, a tem mniej niema w nich jakiegoś dualizmu wschodniego: mimo braku wszelkiej hierarchii religia ta nie pozostaje jednak na niższych stopniach animizmu i manizmu, lecz wznosi się do bogatego politeizmu z bóstwami o najrozmaitszych funkcyach i siłach, daleko w antropo-

morfizmie posuniętymi, opatrzonymi w rozmaite mity. Słowiaństwo nadodrzańskie XI. i XII. w. przyjęło dla bóstw swych zupełnie nowe nazwy, przyczem cześć ich dochodzi do wielkiego rozwoju. Wpływów obcych, jakie dotąd przypuszczano, bynajmniej nie było.

Praca prof. Brücknera, jak to z tego krytycznego przeglądu wynika podaje bardzo wielkie bogactwo nowych szczegółów i odkryć; po raz pierwszy oddzielono dokładnie plewy od ziarna i dano istotnie trzeźwy i naukowy przegląd dotychczasowych badań na tem polu. Jeśli poszukiwania te nie zdobyły się na poważniejsze wyniki, to przyczyną tego jedynie zabójczy brak źródeł wiarogodnych, który nie pozwala na pozytywne pewne określenia, ale zmusza niejednokrotnie do względnie prawdziwych przypuszczeń. Mimo to nowych tych hipotez w małej stosunkowo książeczce bardzo wiele. Może nawet zawiele i dlatego wywody autora nie zawsze dość jasno się przedstawiają, należało je wielokrotnie szerzej i jaśniej przedstawić. Korzystanie z pracy utrudnia też zupełny brak wskaźnika rzeczowo-imiennego, a nawet brak spisu treści poszczególnych rozdziałów. Ma to tę jedynie zaletę, że zmusza każdego do dokładnego przeczytania całej książki, nawet wtedy, gdy się tylko poszukuje jakiejś specyalnej kwestyi, a na to dzieło prof. Brücknera zasługuje w całej pełni.

BOHDAN JANUSZ: Zabytki przedhistoryczne Galicyi Wschodniej. Lwów, 1918. Nakładem Towarzystwa popierania nauki polskiej. 8°, str. VI + 310.

Rzecz wiadoma, że każda praca naukowa rozpoczyna się od mozolnego wstępu, który polega na zebraniu odpowiednich odnośnych materyałów. Dlatego wszelkie studya bibliograficzne, które to gromadzenie odpowiednich danych ułatwiają, są zawsze bardzo pożądane, bo w wysokim stopniu upraszczają powstawanie studyów specyalnych. Cel taki przyświecał też książce p. Janusza, który stara się w niej zinwentaryzować wszystkie zabytki przedhistoryczne Galicyi Wschodniej. Obszar zacieśnił autor z dwojakich powodów, po pierwsze stąd, że Galicya Wschodnia posiada w czasach przedhistorycznych odrębny charakter od obszaru nadwiślańskiego, po drugie, aby ograniczyć się do pewnego mniejszego obszaru, a natomiast tem lepiej go opracować. Same właściwe zestawienia poprzedza autor krótkim zarysem dotychczasowych badań naukowych nad prehistoryą t. zw. dotąd Galicyi Wschodniej.

Po zwięzłym historycznym przeglądzie odnośnych usiłowań w Galicyi Wschodniej przedstawia autor, jak się cały problem zabytków przedhistorycznych przedstawia w jego dziejowym rozwoju.

W Galicyi Wschodniej nie udało się jeszcze natrafić na drobny choćby ślad istnienia człowieka w okresie dyluwialnym, choć znane są wcale liczne znaleziska fauny z tych czasów. Dopiero w okresie neolitycznym pojawia się lud długogłowców, różny kulturalnie od jaskiniowców podkrakowskich. należy jednak zaznaczyć, że dorzecze Bugu zbliża się więcej ku dorzeczu Wisły, podobnie jak dorzecze Dniestru posiada łączność z dorzeczem Dniepru. Szczególnie wielką ilość osad, cmentarzysk i mogił przedhistorycznych znamy z terytorium między Dniestrem i Zbruczem, natomiast w dorzeczu Bugu, Styru i po prawym brzegu Sanu niema prawie osad, względnie ich dotąd nie zbadano. Jak w całej Galicyi, tak i w dorzeczu Bugu kultura kamienna przeciągała się do samych niemal czasów historycznych, równocześnie z wyrobami bronzowymi i żelaznymi. Dla neolitu dorzecza Dniestru charakterystyczne są dwie grupy kulturalne, a mianowicie groby skrzynkowe i osady ceramiki malowanej. Terytoryum dwu tych typów nie wychodzi poza granice dorzecza Dniestru, na obszarze nadbużańskim niema grobów skrzynkowych. Z badań prof. K. Hadaczka wynikło natomiast, że kultura neolityczna obszaru nadbużańskiego była podobną do współczesnej kultury całego niemal dorzecza Wisły. Specyalną właściwością neolitu nadbużańskiego jest ceramika, zdobiona ornamentem sznurkowym. Między dorzeczami Bugu i Dniestru były coraz żywsze stosunki, które z czasem doprowadziły do ujednostajnienia całego obszaru Galicyi Wschodniej.

Na terenie Dniestru znamienne są groby skrzynkowe, oraz ceramika malowana. Badania dra Hadaczka ustaliły, że ludność ówczesna Podola osiągnęła wysoki stopień kultury, trudniła się rolnictwem, hodowlą zwierząt domowych, uprawiała z mistrzowstwem różne gałęzie garncarstwa, mieszkała w chatach wygodnych i posiadała już rozwinięte wierzenia religijne. Kulturę tę trzeba związać z kulturą odkrytą w Troi, Mykenach, Tyrynie, Orchomenos i wogóle na ziemiach Grecyi starożytnej. Stąd to nazywano epokę ceramiki malowanej także archaiczno-mykeńską t. zn. wyprzedzającą późniejszą już bronzową kulturę mykeńską. Około r. 1200 przed Chr. znika ta kultura nagle z nad Dniestru, więc widocznie ludność dobrowolnie wywędrowała, a na jej miejsce wchodzi z powrotem ludność tubylcza czasowo wyparta, jak tego dowodzi ciągłość między kulturą grobów skrzynkowych, a kulturą późniejszych

wieków znajomości metali. Rozmaite sposoby grzebania w ziemi zmieniają się w ciałopalenie, które przyszło prawdopodobnie jak cała kultura żelazna, sztuka garncarska i wyroby bronzowe z Rzymu. Poźniej znów na jakiś czas ustaje palenie zwłok, a wraca się do grzebania. Jak niegdyś w czasach kultury naczyń malowanych, tak teraz rozwinęła się wysoko sztuka garncarska.

Wędrówki narodów w pierwszej połowie pierwszego tysiąclecia po Chr. wpływały nie mało także na stosunki w naszym kraju, po którym czas długi przechodziły różne ludy, aż ludność słowiańska nie stała się wyłącznzm odtąd jego posiadaczem. Odtąd aż do chwili przyjęcia chrześcijaństwa, ciągnie się epoka t. zw. czysto słowiańska, po której pozostały nam wcale liczne zabytki w postaci mogił, cmentarzysk, osad i obwarowań ziemnych. W późniejszych grobach mieszają się już symbole chrześcijańskie z pogańskimi.

Po ogólnym wstępie krytycznym daje autor zestawienie przedhistorycznych zabytków Galicyi Wschodniej według powiatów, dodając przy każdym powiecie odnośną literaturę. W całym przeglądzie pozwala zoryentować się jeszcze dokładniej wskaźnik analityczny i rzeczowy, a obok tego spis wymienionych miejscowości. Oddałby dużą usługę jeszcze indeks chronologiczny zabytków, ale to już należy do zakresu *pia desideria*. Materyał uwzględniony zestawiono bardzo sumiennie i jeden człowiek, mimo, że zupełny samouk właściwie, dokonał tego, nad czem zwykle radzą napróżno całe komisye i redakcyjne komitety. Autor zamierza podobnie opracować wszystkie wogóle zabytki na naszej ziemi. Należy go do pracy tej jak najgoręcej zachęcić. Praca jego o zabytkach przedhistorycznych Galicyi Wschodniej będzie mieć trwałą wartość jako nieodzowne *vade mecum* dla prehistoryków nawet wtedy, gdy wstęp do pracy samej nie ostoi się wobec nowych odkryć naukowych. Dziś już może tym wstępnym uwagom ten i ów niejedno zarzuci, szczególnie odnośnie do tak trudnego zagadnienia wędrówki Słowian i rozprzestrzenienia Germanów. Ale to są drobiazgi. Główną zasługą pozostaje na długie lata dokładna inwentaryzacya zabytków przedhistorycznych z dzisiejszego obszaru t. zn. Galicyi Wschodniej, ułatwiająca w wysokim stopniu wszelkie dalsze prace z tej dziedziny prehistoryi i dlatego należy uznać za bardzo trafne wydanie tej pracy przez tak dzielne i zasłużone Towarzystwo popierania nauki polskiej we Lwowie.

Klejnoty poezyi staropolskiej. Nowa antologia. Ułożył, wstępem i przypisami opatrzył Gustaw Bolesław Baumfeld. Warszawa-Kraków. 1919. 8-o. str. XXVI + 377 + 2 nlb.

Naród, znajdujący się już na pewnym wyższym stopniu rozwoju kulturalnego, ma obowiązek być obznajomiony z całym swym dorobkiem umysłowym choćby w ogólnych zarysach. Dlatego przeszłość naszej literatury czy sztuki powinien znać nie tylko specyalista, pracujący na tem polu, ale każdy inteligentny Polak. Szkoła stara się nas o tem pouczyć, ale rzecz znana, że wszelkie udzielanie wiadomości w danej dziedzinie oficyalnie nie wystarcza. Było więc oddawna i ciągle jest potrzebą stwarzanie podręczników czy wogóle dzieł, któreby w szerokich kołach inteligencyi mogły szerzyć wiadomości o naszej świetnej przeszłości czy to kulturalnej, czy historyczno-politycznej. Wychodząc z tego punktu widzenia należy uznać za trafne wydanie antologii cenniejszych utworów staropolskiej poezyi. Wydał je Gustaw Baumfeld p. t.: „Klejnoty poezyi staropolskiej". Autorowi nie szło o systematyczny przegląd całej literatury staropolskiej, ale o antologię o charakterze wyłącznie literackim, artystycznym, mającą na celu w takiej właśnie formie uczynić samą poezyę naszą bliską ogółowi czytającemu, spopularyzować ją wśród niego i rozmiłować go w niej w tym stopniu, jak rozmiłował się w niektórych poezyach nowoczesnych.

Wobec zaznaczonego celu wydawnictwa trzeba było też przyjąć pewien specyalny podział i układ uwzględnionego materyału. Poezyę rozłożono wedle tematów, co uwidocznia wyraźnie wielostronność tej twórczości i pozwala stwierdzić, jak ta lub inna struna dźwięczała u nas w różnych czasach i pod palcami różnych poetów. Więc mamy najpierw grupę utworów religijnych, jako tych, które najwcześniej pojawiają się w literaturze naszej.

Z nimi łączą się ściśle poezye patryotyczno i rycerskie, tak że niejednokrotnie trudno określić, do którego z obu rodzajów należy je zaliczyć. Osobną grupę tworzą wiersze o życiu i śmierci, powstała w miarę postępu piśmiennictwa obfita poezya miłosna i obyczajowa. W zakresie poszczególnych działów ułożono poezye w porządku chronologicznym i przed oczyma czytelnika mogą się przesunąć całe stulecia rozwoju poezyi naszej. Więc najpierw polskie prymitywy, religijne pieśni, przekłady z Pisma świętego, psalmy i świątobliwe opowieści, następnie pierwsze jędrne choć twarde jeszcze próby poetyckie Biernata z Lublina i Mikołaja Reja, natchnione miękkie strofy prawdziwego już poety Jana Ko-

chanowskiego i pełnobrzmiące oktawy jego imiennika Piotra, silne uczuciem i tonem poezye Mikołaja Szarzyńskiego obok twardej, dźwięczącej jak szczęk zbroi, mowy „Wojny Chocimskiej“ Wacława Potockiego, wreszcie pełne wyrazu sielanki Szymonowicza obok niejednego rzewnego głosu poetyckiego z okresu rozbiorów. Odpowiednie do swego znaczenia i rozrostu zajęła miejsce odrodzona twórczość za panowania Stanisława Augusta. Czyta się prawie wszystkie karty z dziwnem uczuciem aktualności, jaką one posiadają. Jak rozumiemy dziś n. p. wiersze Jana Andrzeja Morsztyna, pisane koło r. 1660 pt.: *„Non fecit aliter ulli nationi“*

Żadnej krainie Bóg nie błogosławił
Tak, jak Polszcze; bo choć ją postawił
Wśród nieprzyjaciół krzyża zbawiennego,
W całości dotąd jest z obrony Jego.
Stąd ma i sławę, bo postronni wiedzą,
Że za jej strażą w bezpieczeństwie siedzą.
Do samsiadów też chleba nie biegamy
Prosić, i owszem swego udzielamy.
Czegoż chce więcej ta kraina z nieba,
Mając dość sławy, obrony i chleba?...
Rządu potrzeba.

Obrabowani z chleba przez zacnych „samsiadów“ musimy chwilowo się wprawdzie zapożyczać w środki żywności, ale zresztą wiersz zupełnie aktualny. I takich czyta się całe strofy, przeważnie na pokrzepienie serc i wzmocnienie ducha w nas w tak ciężkiej opresyi.

Wartość wydawnictwa podnoszą przydane na końcu objaśnienia rzeczowe, językowe i historyczno-literackie, nie zbyt obszerne, ale przeważnie zupełnie wystarczające dla antologii, która ma na celu w pierwszym rzędzie zamierzenia estetyczne, a nie specyalnie naukowe. Może należało niektórych autorów więcej uwzględnić jak Gawińskiego, Biernata z Lublina, głośnego księdza Bakę i in., a w objaśnieniach niektóre szczegóły dałyby się uzupełnić, a może nawet poprawić. W niczem to jednak nie obniża wartości tego wyboru poezyi staropolskiej, który szerokiemu ogółowi naszemu może przynieść wiele kulturalnych korzyści.

Adam Fischer.

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Omyłki druku:

„PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI" — ZESZYT III., MARZEC 1919 („KRONIKA LITERACKA"):

str.	281	w.	4	od dołu	*zamiast*	quaeus	*ma być*	quercus
„	282	„	10	z góry	„	tatarskim	„	ratarskim
„	282	„	9	z dołu	„	Piutona	„	Plutona
„	283	„	4	z góry	„	marki	„	mawki
„	283	„	18	z dołu	„	sugijskie	„	rugijskie
„	283	„	16	„	„	jawy	„	jary
„	283	„	15	„	„	wujewy	„	rajewy
„	283	„	15	„	„	świetoisty	„	świętowity
„	283	„	15	„	„	jawisty	„	jarowity
„	285	„	8	„	„	Tyrynie	„	Tyrynsie
„	286	„	4	„	„	t. zn.	„	t. zw.
„	288	„	10	z góry	„	aliter	„	taliter.